

WIEŚ

W NUMERZE

WŁADYSŁAW MACHEJEK — Socjalistyczna załoga PGR-u
 KAJETAN KOTOWICZ — Ludzie z Przypisówki
 WITOLD ŁUKASIEWICZ — Stanisław Gabriel Worcell na tle epoki
 EDMUND NIZIURSKI — Realizm ale czy socjalistyczny?
 ZOFIA RZEPLIŃSKA — Niemiecka ulica • WACŁAW SZUMSKI — Chiny Wolne

tygodnik społeczno-literacki

Rok VII

Warszawa, dn. 19 marca 1950 r.

Nr 11 (242)



CW 9037



HENRYK WORCEL WŁADYSŁAW MACHEJEK STEFAN TURNAU ZBIGNIEW KWIATKOWSKI

O T R Z Y M A L I

PIERWSZE KOLEJNE NAGRODY
 NA KONKURSIE TYGODNIKA »WIEŚ«

ZA

»REPORTAŻ O WSI«

Jury »Konkursu na reportaż o wsi« (ogłoszonego w Nr 46 (225) tygodnika »Wieś« z dnia 13 listopada 1949 r. w składzie:

WŁADYSŁAW KOWALSKI, LUCJAN RUDNICKI,
 MARIAN JAWORSKI, WANDA MARKOWSKA, STEFAN ATLAS,
 STANISŁAW WYGODZKI, PIOTR GRENIUK, WŁADYSŁAW OZGA,
 JAN ALEKSANDER KRÓL, ANNA KAMIENSKA,
 MARIA ŻMIGRODZKA, LEONARD SOBIERAJSKI,
 WIESŁAW JAŻDZYŃSKI

na posiedzeniu w dniu 8 marca 1950 r. spośród prac nadesłanych na konkurs w terminie do 15 stycznia 1950 r. przyznało nagrody pracom następującym:

I Rewolucja w Guranowie, godło — „Osadnik Głaz“
II Socjalistyczna załoga PGR-u godło — „Chyszów“
III Po wyboistej drodze - naprzód! godło — „Szary dzień“
III Nowe godło — „Siódmy list“

JURY OCENIAJĄC POZYTYWNE PŁON KONKURSU I MAJĄC NA UWADZE JEGO DUŻE ZNACZENIE DLA ROZWOJU NOWEJ LITERATURY, POSTANOWIŁO UTRZYMAĆ WYSOKOŚĆ NAGRÓD ZAPOWIEDZIANYCH PRZY OGŁOSZENIU KONKURSU. JEDYNIĘ TRZECIĄ Z NICH ROZDZIELONO NA DWIE PRACE, KTÓRE W WYNIKU GŁOSOWANIA OTRZYMAŁY JEDNAKOWĄ ILOŚĆ PUNKTÓW.

Po otwarciu kopert okazało się że autorami nagrodzonych prac są:

I Nagroda 200.000.—
 HENRYK WORCEL — „Rewolucja w Guranowie“
II „ 150.000.—
 WŁADYSŁAW MACHEJEK — „Socjalistyczna załoga PGR“
III „ 75.000.—
 STEFAN TURNAU — „Po wyboistej drodze naprzód!“
III „ 75.000.—
 ZBIGNIEW KWIATKOWSKI — „Nowe“

Z 238 prac jakie wpłynęły na konkurs poza nagrodzonymi głównymi nagrodami wyróżnionych zostało do dalszych nagród 45 prac. Lista tych prac i nagród zostanie opublikowana po zwołaniu drugiego posiedzenia Jury w najbliższym numerze „Wsi“.

JURY KONKURSU

O terminie rozdania nagród Redakcja poinformuje uczestników konkursu



WITOLD ŁUKASZEWICZ

STANISŁAW GABRIEL WORCELL NA TLE EPOKI

„Jako żurawie, co lańcuch prowadzą,
Świeciejsze serca wylatują przedem.
Umra—ich duchy lecą przed narodem,
Ich wrzask, ich śmiech, ich lament—to hasła”.

Juliusz Słowacki

I. DZIECIŃSTWO

Stanisław Gabriel Worcell urodził się 26 marca 1799 r. w Stepaniu nad Horyniem na Polesiu Wolińskim jako syn Stanisława Grzegorza, podstolego w Lit. właściciela miasta Stepania i 23 wsi, z 7130 poddanych chłopów i Anny Tepperówny, córki słynnego bankiera warszawskiego z czasów Stanisława Augusta. Ród Worcellów był niemieckiego pochodzenia. W Polsce zjawiał się za Sasów a jego polskim protoplastą miał być hr. Wurzel von Timmerstein, nobilitowany jako von Worcel.

Worcellowie szybko spolonizowali się wiążąc się z okoliczną szlachtą folwarczną przez ożenek, a jednocześnie powiększyli przez posagi i własną zapobiegliwą gospodarczą swoją fortunę. Stanisław Grzegorz, ojciec naszego bohatera, osiadł w Stepaniu i zamienił go na wspaniałą rezydencję magnacka, do czego przyczyniła się w dużym stopniu jego pierwsza żona, Duklana Morawska, spokrewniona z Radziwiłłami. W Stepaniu było dwórno i wesoło, hucznie płynęło życie, bawiono się i pito na umór. Nie trwało to wszakże długo; małżonkowie się rozeszli. Stanisławowi Grzegorzowi Worcellowi pozostało z tego małżeństwa dwu synów: Ignacy i Mikołaj.

Około 1796 r. Stanisław Grzegorz Worcell ożenił się z Anną z domu Tepper, rozwiedzioną z Wołodkowiczem. Druga żona nie miała usposobienia do hucznych zabaw, lubiła życie ciche, skromne. Nie wniosła ona Worcellowi dużego posagu, ponieważ ojciec jej zbankrutował jako bankier. Nie była to też kobieta pierwszej młodości, a tymbarziej urody. „Pani Worcellowa — pisał o niej Mikołaj Jelowicki, biograf St. Gabriela Worcella, jej syna — była już w wieku, w którym wdzięki opuszczają, lecz miała cnoty, nagradzające sowicę brak piękności, wychowanie wyborne, rozum wielki i uprzejmość dla wszystkich niewyčerpana... pełną znajomości świata” (cyt. z Limanowskiego: St. Worcell, Kraków 1910, str. 4). Z tego to małżeństwa przyszedł na świat w marcu 1799 r. Stanisław Gabriel Worcell, którego działalność zajmujemy się obszerniej w niniejszym artykule. Rodzice Worcella nie należeli do przeciętnych w swoim środowisku wśród bogatej szlachty folwarczej granicznej społecznie z magnaterią: Radziwiłłami, Lubomirskimi, Czartoryskimi: Ojciec powszechnie szanowany dla swej uczciwości i gościnności — należał do światlejszych obywateli swego czasu. Podczas Sejmu Czteroletniego popierał stronnictwo reformy, a gdy ogłoszono Konstytucję 3-go Maja 1791 r. zawarł on 28 maja t. r. układ z gromadą znoszącą „chcąc dopełnić sprawiedliwości dla wszystkich poddanych”.

Nadał on chłopom „przywilej wolności i własności gruntów” — opisał powinności, daniny i opłaty należne od każdego gospodarza i pozostawił do wyboru albo płacenie ich w formie czynszu, albo odrobku — pańszczyzny, przy czym pozwalał opuszczać grunt po pozostawieniu go w należytym porządku bądź odsprzedając jego użytkowanie innemu chłopu. Była to, rzecz zrozumiała, niezbyt wielka ulga dla poddanych chłopów znosiących, a szumny przywilej „wolności i własności gruntów” błądliwie w zastosowaniu praktycznym — mimo to w okolicy powstał rumor znaczny i podniósł jeszcze bardziej reputację rodu Worcellów.

Drugi rozdział Polski (1793 r.) przyniósł w następstwie włączenie Wołynia do Rosji, klucz Stepański znalazł się pod panowaniem Katarzyny II, która starała się zjednać dla siebie szlachtę polską w krajach zabranych jako spowiedczą podporę dla swego samowładztwa, zatwierdzając i roddając tytuły hrabiowskie i wzmacniając feudalny ustrój agrarny. Worcellom zatwierdzono także niemiecki tytuł hrabiowski. Lelelew nazywał tych porobiorowych hrabiów z łaski zaborców „kwiatami, wyrosłymi na grobie matki Ojczyzny...” Inaczej to rzecz traktowała krewosna szlachta. Dla niej tytuł hrabiowski był wykładnikiem wpływów i pozycji społecznej oraz majątkowej.

W okresie gdy w sąsiedztwie Wołynia tworzył Napoleon Księstwo Warszawskie, młody Worcell miał 9 lat i znajdował się pod silnym wpływem matki. Matka jego była kobietą bardzo religijną. Nic więc dziwnego, że jej syn przejął się religijnością umiłowanej matki, spowiadał się co tydzień, czytał książki religijne, skazywał siebie na rozmatnie umartwienia, pisał do matki listy pełne mistycznej religijności. Żył matką i dla matki.

Wpływ tych dwojga osób sprawił, że jedynym pragnieniem Stasia, które żywił przez kilka lat, było zostać zakonikiem i poświęcić się służbie Bożej. Na szczęście znalazł się człowiek, który temu przeszkodził i wyrwał podraźnionego chłopca spod wpływu mistycznej-klerykalnego, kierując edukację Stasia i jego przyrodniego brata Mikołaja na właściwą towarzyską, którą ogarnął swym zasięgiem ziemie polskie i wprzął je do walki z absolutyzmem i reakcją św. Przymierza w imię re-

wolucyjnego braterstwa uciemiężonych ludów. Prawdą temu było na imię — karbonaryzm albo w polskim brzmieniu — weglarstwo. Pod jego wpływem młodzież wojskowa, szkolna i uniwersytecka tworzyła ściśle zakonspirowane związki rewolucyjne, oręż papierowy przekuwano na sztylet, by zatopić go w piersi władców — tyranów. Poznajmy bliżej ten ruch i udział w nim Stanisława Worcella w latach 1820 — 1825.

Karbonaryzm był tajnym rewolucyjnym ruchem międzynarodowym, który w pierwszych trzech dziesięcioleciach XIX w. ogarnął całą Europę. W ogólnym zarysie organizacji szeregu krajów europejskich i pomimo, iż w każdym z nich dążył do innych celów, wszędzie uprawiał politykę zdecydowanego przeciwdziałania despotyzmowi i reakcji. W krajach ujarzmionych, jak Polska, przybierał cechy ruchu narodowo-wyzwoleńczego, w państwach niepodległych ale ściśniętych obrozą politycznego systemu Świętego Przymierza — wysuwał hasło demokratycznej konstytucji i reform społeczno-gospodarczych mających ułatwić pełny rozwój kapitalistycznych stosunków produkcji. Najsilniejszy w Italii, gdzie była jego kolebka, wypiastowany tam podczas okupacji napoleońskiej, która zwałczal, karbonaryzm włoski przyniósł po upadku Napoleona swe odium na legitymistyczny, powideń-

2. NA REWOLUCYJNEJ FALI.

Gimnazjum, a następnie Liceum Krzemienieckie, miało ogromne znaczenie w dziejach oświaty naszego narodu. Oparte na świetnych wskazaniach pedagogicznych i naukowych swego założyciela Tadeusza Czackiego i jego doradcy Kollataja było małym uniwersytetem dla całej Rusi. Krzemieniec — Ateny Wołyńskie — wydał wybitnych postępowych poetów jak: Słowacki i Maurycy Gosławski; historyków, matematyków (z których słynął), a przede wszystkim zastęp patriotycznych działaczy spiskowych (Worcell, Józef Wysocki, Antoni Baupré, Piotr Borowski i inni). Gimnazjum Krzemienieckie, w którym zgodnie ze wskazaniami Czackiego i Kollataja położono nacisk na nauki matematyczno-przyrodnicze oraz humanistyczne (prawo, historia, literatura klasyczna i polska, języki nowożytne) kształciło swych uczniów wszechstronnie i solidnie, przygotowując do życia w trudnych warunkach politycznej niewoli. Z Krzemienicy wychodzili nie tylko świetni matematycy i chemicy, literaci i historycy, ale przede wszystkim postępowo myślący działacze — patrioci. Wielki wpływ na młodzież wywierał profesor Michał Choński, wykładowca prawa natury, prawa publicznego i narodów, ekonomii i statystyki, zapalony zwolennik obalenia feudalnego ustroju agrarnego i wprowadzenia pełnego usamowolnienia i uwłaszczenia chłopów. Obok niego działał szczególnie umiłowany przez młodzież zaskładowy profesor historii powszechnej — Józef Uldyński, demokrat i republikanin z przekonań. Był on podobnie — jak Lelelew w Wilnie — ojcem duchowym patriotycznego ruchu młodzieży krzemienieckiej. Worcell przyjął całą duszą do Uldyńskiego, polubił Chońskiego, słowem jak większość jego kolegów szkolnych stanął po stronie postępu i patriotyzmu przeciw despotycznemu samowładztwu i służalstwu.

Jako zdołny i pilny uczeń szybko dał sobie radę z dość obszernym, jak na możliwości młodzieńca, programem nauk, przechodził regularnie z kursu na kurs, otrzymał kilka wyróżnień za postępy, opowiadał wybornie matematykę, rysunek, prawo i historię oraz język francuski i wydoskonalił się w języku ojczystym. Przyjaźnił się z Janem Ordynicem, Tomaszem Padurą, Smokowiczem, Józefem Korzeniowskim i Ruesem Wątróbką. Nadawali oni kierunek patriotycznej ośrodkowi młodzieźniemu Krzemienieckiemu. Jan Ordyniec był prezesem Towarzystwa uczniów ćwiczących się w porządku mównicy i pisanii po polsku, do którego przyjęto również Worcella 9 lutego 1820 r. Literackie kółko krzemienieckie zajmowało się nie tylko dyskusowaniem nad literaturą i wydawaniem własnych utworów poetyckich. Było ono również ważnym ośrodkiem polskiego ruchu narodowo-wyzwoleńczego, utrzymywało kontakty spiskowe z tajnymi związkami młodzieży, przede wszystkim z wileńskimi Filomatami, nadto współpracowało z wileńskim Towarzystwem Szubrawców, składającym się z liberalnej inteligencji szlachecko-burżuazyjnej pod przewodnictwem prof. Uniwersytetu Jędrzejowskiego, działającego pod literackim pseudonimem Sotwarosa. Towarzystwo Szubrawców w Wilnie wydawało głośnie na całej Litwie i Rusi „Wiadomości Brukowe” (od 1817), w których chłostano niemiłosiernie wady narodowo-staro-szlacheckie, wysmiewano kołtuństwo kleru, natomiast domagano się zniesienia poddaństwa i pańszczyzny.

W początkach 1820 r. powstała za staraniem kilku starszych kursistów Liceum Krzemienieckiego filia Towarzystwa Szubrawców w Krzemieńcu pod dziwną nazwą grecką heauton-timoru-menos (dających się na skrótowo nazywano żartobliwie „merynosami”). Worcell został prezesem krzemienieckich Szubrawców i rozwinął swą działalność publicystyczną w wileńskich „Wiadomościach Brukowych” pod pseudonimem Gryzoniara Tukana. Artykuły Worcella wyśmiewały głupotę społeczeństwa krzemienieckiego, głównie owczy jej pęd za wszystkim co cudzoziemskie, francuskie lub włoskie. Wywołały one gromy potępienia na młodego arystokratę, który osmielił się oczernać własne gniazdo społeczne — latyfundiaryjne i folwarcznych feudałów obojga płci. Zabawa w szubrawstwo nie mogła wszakże zaspokoić pragnień patriotycznych Worcella i podraźniającego pokolenia młodzieży polskiej na Litwie i Rusi. Od zachodu Rosji przychodził silny wiew rewolucyjny, który ogarnął swym zasięgiem ziemie polskie i wprzął je do walki z absolutyzmem i reakcją św. Przymierza w imię re-

wolucyjnego braterstwa uciemiężonych ludów. Prawdą temu było na imię — karbonaryzm albo w polskim brzmieniu — weglarstwo. Pod jego wpływem młodzież wojskowa, szkolna i uniwersytecka tworzyła ściśle zakonspirowane związki rewolucyjne, oręż papierowy przekuwano na sztylet, by zatopić go w piersi władców — tyranów. Poznajmy bliżej ten ruch i udział w nim Stanisława Worcella w latach 1820 — 1825.

Karbonaryzm był tajnym rewolucyjnym ruchem międzynarodowym, który w pierwszych trzech dziesięcioleciach XIX w. ogarnął całą Europę. W ogólnym zarysie organizacji szeregu krajów europejskich i pomimo, iż w każdym z nich dążył do innych celów, wszędzie uprawiał politykę zdecydowanego przeciwdziałania despotyzmowi i reakcji. W krajach ujarzmionych, jak Polska, przybierał cechy ruchu narodowo-wyzwoleńczego, w państwach niepodległych ale ściśniętych obrozą politycznego systemu Świętego Przymierza — wysuwał hasło demokratycznej konstytucji i reform społeczno-gospodarczych mających ułatwić pełny rozwój kapitalistycznych stosunków produkcji. Najsilniejszy w Italii, gdzie była jego kolebka, wypiastowany tam podczas okupacji napoleońskiej, która zwałczal, karbonaryzm włoski przyniósł po upadku Napoleona swe odium na legitymistyczny, powideń-

ski porządek (1815) i jego żardarna w Europie — Święte Przymierze. Karbonaryzm zrodził pronaunciamiento (rewolucje) włoskie w Państwie Kościelnym (1817), w Neapolu (1820) w Piemencie (1821) — zgniecione przez zbrojną interwencję Metternicha (austriacką), uplanowana na kongresie despotycznych władców św. Przymierza w 1821 r. w Lublanie. Kraje włoskie przyniósł but metternichowskiej reakcji. Po tych niepowodzeniach centrum kierownicze karbonaryzmu włoskiego przemieściło się z Neapolu do Genui i poddało się pod wpływ Filipa Buonarrotiego, uczestnika Spisku Równych Babeufa z czasów Dyrektoriatu (1796 — 7). Karbonaryzm włoski otrzymał akcenty robuspieryzmu i bawezizmu. Za wzorem włoskim organizował się ruch karbonarski we Francji, Hiszpanii, Szwajcarii, w państwach Rzeszy Niemieckiej (jako Burschenschaft), sięgnął na ziemie polskie w trzech zaborach, znalazł nawet swoiste próby naśladowstwa w carskiej Rosji pod postacią spisku dekabrystów (1825 r.). Konspiracyjne związki karbonarskie operano zwykle na legalnie działającej masonerii, a to dla zmylenia czujności policji i stosowano najczęściej trójstopniowy system wtajemniczenia. W taktyce konspiracyjnej stosowano dwa sposoby postępowania: tajny i jawny. Ośrodek — jądro kierujący całością kształtem konspiracji karbonarskiej typu był ściśle zakonspirowany, otaczały go organizacje legalne pozorne apolityczne, naukowe, towarzyskie, których członkowie nie wiedzieli, iż poza parą wtajemniczonych, że przynależą do ośrodka tajnego-rewolucyjnego. Według tych zasad spiskowo formowano związki karbonarskie na ziemiach polskich, głównie w Poznańskim, w Królestwie Polskim, na Litwie i Rusi. Polscy karbonarzy rekrutowali się ze środowiska akademicko-gimnazjalnego i z wojskowych — b. legionistów Dąbrowskich. Legioniści przynieśli jako pierwsi na ziemie polskie włoskie wzory karbonarskie. Świetny okres Cesarstwa zatarł wśród najbardziej republikańsko i antybonapartyjnie nastrojonych legionistów niechęć do Napoleona, który urosł w złudnej wyobraźni Polaków do symbolu bojujnika za sprawę Polski, chociaż walczył wyłącznie w interesie burżuazji francuskiej. Po upadku Napoleona, w dobie pokongresowej, zwłaszcza w 1. 1815 — 1830, w opinii polskiej „Napoleonizm znaczył to samo prawie co patriotyzm” — jak to przyznał ówczesny historyk i spiskobrawstwo nie mogła wszakże zaspokoić pragnień patriotycznych Worcella i podraźniającego pokolenia młodzieży polskiej na Litwie i Rusi. Od zachodu Rosji przychodził silny wiew rewolucyjny, który ogarnął swym zasięgiem ziemie polskie i wprzął je do walki z absolutyzmem i reakcją św. Przymierza w imię re-

Centralnego w Warszawie — Wolnomularstwo Narodowe przekształciło się w ściśle patriotyczny spisek, oparty na organizacji karbonarskiej, łożę zamieniono na gminy, skasowano stopniowanie masonskie, wprowadzając równość między członkami. Spisek obejmował organizacyjnie siedem prowincji: wojsko, Królestwo Kongresowe, Poznańskie, Litwę, Wołyń, Rzeczpospolitą Krakowską i Galicję. Prowincje dzieliły się na okręgi, a te na gminy. Spiskowcy płacili określony podatek na cele organizacji i zajmowali się propagandą patriotyczną dla przyciągnięcia powstania. W sprawie chłopskiej Narodowe Patriotyczne Towarzystwo nie miało ustalonego programu, część tylko jego członków żądała usamowolnienia i uwłaszczenia włościan. Ta niezdecydowana postawa Towarzystwa w najważniejszej sprawie społecznej — była następstwem klasowego, szlacheckiego składu organizacji i jego kierownictwa, które ruch spiskowy operowało głównie na szlacheckim i nie chciało jej odstraszać, poruszając sprawę chłopską. Ludwik Sobański i Marcin Tarnowski — emisariusze Komitetu Centralnego Towarzystwa na Ruś — pokrzył ją siatką gmin i obwodów. Mikołaj Worcell został mistrzem obwodu rówieńskiego, Stanisław Worcell czynnie mu w tej pracy pomagał, przekształcając tajne komórki Wolnomularstwa Narodowego w łoży dubiejskiej „Doskonała tajemnica” i rafałowskiej „Cnota uwieńczona” — na gminy Narodowego Patriotycznego Towarzystwa. Rząd carski, wyczuwając robotę spiskową — karbonarską w legalnych łożach masonskich, wykrył je w Królestwie Polskim we wrześniu 1821 r., a w r. następnym na obszarze Rosji, a więc na Litwie i Rusi (13.VIII 1822).

W maju 1822 r. aresztowano w Warszawie mjr. Łukasiewicza, Machnickiego i kilku innych przywódców Towarzystwa. Rozpoczęły się meczące, okrutne dochodzenia, ale organizacji nie zdekonspirowano, wyszło tylko na jaw istnienie Wolnomularstwa Narodowego. Wielu spiskowców opuściło szeregi Towarzystwa — Stanisław Worcell i jego brat Mikołaj pozostali, działając nieustraszenie na Wołyniu.

3. POWSTANIE

Narodowe Patriotyczne Towarzystwo nie rozdziało się po uwięzieniu Łukasiewicza, pracą spiskową kierował ppłk. Krzyżanowski, nadając jej jeszcze większy rozmach niż dotąd. Na Ruś spiskowcy polscy dotkali się z rosyjskimi karbonarami — ze Związkiem Południowym Dobra Publicznego (Sojuz Blahodienstwiya) plk. Pawła Pestela (późniejszego dekabrystami). Spiskowcy rosyjscy, zwłaszcza ze Związku Południowego, szukali porozumienia z polskimi dla stworzenia wspólnego frontu celem obalenia caratu i wyzwolenia obu narodów z jarzma despotyzmu. Stanisław Worcell był współnikiem tych zamiarów wolnościowych polsko-rosyjskich. Worcell w r. 1834, w ósmą rocznicę kaźni carskiej nad dekabrystami, tak mówił o tym wspólnym programie rewolucjonistów polskich i rosyjskich: „Panowanie ludu w każdym z tych krajów miało zastąpić panowanie tyrańca i wspólny wąż miał polczyć w jedną wielką federację narody szczepu słowiańskiego”. Spotkania spiskowców polskich i rosyjskich odbyły się 3 razy: w 1824 i 1825 r. w Kijowie oraz w sierpniu 1825 r. w Zytomierzu. Ze strony rosyjskiej występował Murawiew Apostoł, Rylejew i Pestel, ze strony polskiej książę Jabłonowski i hr. Mozyński. O porozumieniu się byli poinformowani obaj Worcellowie: Mikołaj i Stanisław. 26 grudnia 1825 r. w dniu, gdy miano składać przysięgę wierności nowemu carowi Mikołajowi I, nastąpił wybuch wojskowy w Petersburgu, a jednocześnie podniósł na Ukrainie chorągiew walki z caratem Sergiusz Murawiew Apostoł. Powstanie zduszone krwawo, winnych spisku powieszono w lipcu 1826 r. bądź posłano do katorgi. W śledztwie natrafiono na ślad istnienia Narodowego Patriotycznego Towarzystwa. Zdradca książę Jabłonowski odkrył dla uniknięcia kary i konfiskaty majątku nieci spisku karbonarskiego. Poszły w ruch kibitki, uwięziono przywódców Towarzystwa na Rusi, między nimi i Mikołaja Worcella. Po dręczącym śledztwie wysłano go po pozabawieniu szlachetwa w „soldaty” jako szeregowca na Kaukaz. Stanisław Worcell uniknął aresztowania. Zdrada nie policzyła go wśród swych ofiar.

Likwidacja dekabrystów i rozbięcie Narodowego Patriotycznego Towarzystwa w r. 1825 stanowią końcowe ognio w prowadzonej przez św. Przymierze akcji przeciw karbonaryzmowi w Europie Wschodniej po jego zduszeniu w latach 1821-22 we Włoszech, Rzeszy Niemieckiej, Francji i Hiszpanii. W roku następnym carat zduł ruch młodzieży w Wilnie i Krzemieńcu, likwidując karbonarskie ośrodki Filomatów i Filaretów, a ich uczestników skazał na zsyłki i w „soldaty”. Nad Litwą i Rusią pałka żandarmarska dzierżyła niepodzielnie władzę. Triumfował Mikołaj-Palkin, krwawy samodzielniec. Zamarło życie spiskowe, szlachta folwarczna bała się wianego cienia, nieobitki szlacheckiej patriotycznej młodzi, wychowanek Wilna i Krzemienicy, czekał na nowy sygnał z Królestwa. Tam młodzież spiskowa nie dala za wygraną caratowi, tam nadal działały ognia spiskowe, gotowano się do powstania. Z nad Sekwan powiało nadzieja, francuscy karbonarzy, odrodzeni, stanęli w upalne dni lipcowe 1830 r. na barykadach, obalili tron Karola X, podpięramy przez ziemiaństwo i bankierów

Centralnego w Warszawie — Wolnomularstwo Narodowe przekształciło się w ściśle patriotyczny spisek, oparty na organizacji karbonarskiej, łożę zamieniono na gminy, skasowano stopniowanie masonskie, wprowadzając równość między członkami. Spisek obejmował organizacyjnie siedem prowincji: wojsko, Królestwo Kongresowe, Poznańskie, Litwę, Wołyń, Rzeczpospolitą Krakowską i Galicję. Prowincje dzieliły się na okręgi, a te na gminy. Spiskowcy płacili określony podatek na cele organizacji i zajmowali się propagandą patriotyczną dla przyciągnięcia powstania. W sprawie chłopskiej Narodowe Patriotyczne Towarzystwo nie miało ustalonego programu, część tylko jego członków żądała usamowolnienia i uwłaszczenia włościan. Ta niezdecydowana postawa Towarzystwa w najważniejszej sprawie społecznej — była następstwem klasowego, szlacheckiego składu organizacji i jego kierownictwa, które ruch spiskowy operowało głównie na szlacheckim i nie chciało jej odstraszać, poruszając sprawę chłopską. Ludwik Sobański i Marcin Tarnowski — emisariusze Komitetu Centralnego Towarzystwa na Ruś — pokrzył ją siatką gmin i obwodów. Mikołaj Worcell został mistrzem obwodu rówieńskiego, Stanisław Worcell czynnie mu w tej pracy pomagał, przekształcając tajne komórki Wolnomularstwa Narodowego w łoży dubiejskiej „Doskonała tajemnica” i rafałowskiej „Cnota uwieńczona” — na gminy Narodowego Patriotycznego Towarzystwa. Rząd carski, wyczuwając robotę spiskową — karbonarską w legalnych łożach masonskich, wykrył je w Królestwie Polskim we wrześniu 1821 r., a w r. następnym na obszarze Rosji, a więc na Litwie i Rusi (13.VIII 1822).

W maju 1822 r. aresztowano w Warszawie mjr. Łukasiewicza, Machnickiego i kilku innych przywódców Towarzystwa. Rozpoczęły się meczące, okrutne dochodzenia, ale organizacji nie zdekonspirowano, wyszło tylko na jaw istnienie Wolnomularstwa Narodowego. Wielu spiskowców opuściło szeregi Towarzystwa — Stanisław Worcell i jego brat Mikołaj pozostali, działając nieustraszenie na Wołyniu.

Upadek powstania rzucił Worcella na utożsamienie 1831 r. Worcell wraz z korpusem gen. Ramoriny znalazł się w Galicji pod władzą austriacką. Pewien czas bawił we Lwowie w gronie znajomych i przyjaciół, by na wezwanie Antoniego Ostrowskiego, byłego komendanta gwardii narodowej warszawskiej, krzątającego się w Paryżu koło zebrań tam sejmku powstającego, stanąć w stolicy nadsekwanskiej w lecie 1832 r. W życiu Worcella otwarła się najpiękniejsza, a jednocześnie także tragiczna karta, karta tułacza-emigranta, nieugiętego szermierza rewolucyjnej i politycznej na ziemiach polskich pod sztandarem rewolucyjnego internacjonalizmu. Na emigracji dojrzała stopniowo osobowość rewolucyjna Worcella w ogniu polemiki, dyskusji i walki z różnymi obozami. Worcell nie odrzucał odnalezioną drogą, nie odrzucał wiodącą do swego świadomości relitka feudalne, nie odrzucał się od klasy społecznej, która go wydała i przeszedł na pozycję jej wroga, na pozycję bezkompromisowego rozprawy z feudalnymi stosunkami produkcji, nie odrzucał się z wolnienikami i propagatorem utopijnego socjalizmu,

(ciąg dalszy nastąpi)

Jest już późna jesień. Po wrześniowej i październikowej suszy, dzięki której cukru więcej w burakach, więcej w nich słońca ale i krzyże więcej przy ich zbiorze bołaty—przyszła pora deszczu, przejmujących wiatrów i owianego nieba. I w Kawłach jest nie inaczej, niż w reszcie Polski. Nie inaczej z pogodą.

Minąwszy na 60-tym kilometrze od Bydgoszczy małe miasteczko Sępólno wecheliśmy na polną drogę, pełną błota i kałuż. Szofer zna ten trakt na pamięć i dzięki temu brniemy na przód, raz po raz zjeżdżając na boki, na ląkę lub ścierniska, wymijając co groźniejsze i głębsze bajory.

Wzdłuż drogi świeżo wykopane telefoniczne słupy. Prowadzą nas nieomylnie w stronę spółdzielni produkcyjnej w Kawłach. Te świeżo wykopane słupy, jeszcze dziewicze, samotnie stojące, nie powiązane ze sobą drutem, to pierwszy sygnał nowego życia, które nie chce być zagubione wśród pomorskich jezior i torfowisk, odcięte jesiennymi kałużami od szkół dla dzieci i pomocy lekarskiej dla połoznych.

Pierwszy bodaj użytek, który Spółdzielnia zrobiła z przynależnych jej kredytów — wyjaśnia mi sekretarz komitetu powiatowego PZPR — pierwszy 14 tysięcy, wydanych z funduszu już wspólnych, społecznych to właśnie udział w budowie tej linii telefonicznej, niewykonywanej jeszcze, ale będącej zapowiedzią ziszczenia tych najlepszych nadziei, które ludzie z Kawłi wiążą ze swą śmiałą decyzją.

KAJETAN KOTOWICZ

LUDZIE Z PRZYPISÓWKI

Praca konkursowa wyróżniona

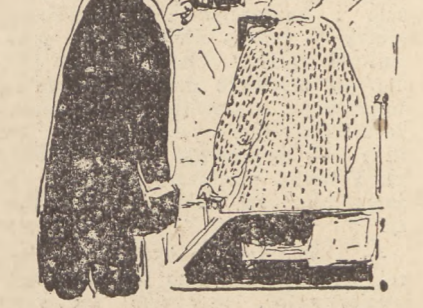
— A ta druga? — wskazuje na fotografię mężczyzny w przedwojennym mundurze plutonowego.

— Tego Niemcy zabili, jak jechał do Warszawy z meldunkami. I drugiego też — wskazuje na inną jeszcze fotografię, z której patrzy bystre, przenikliwe oczy. — Otoczyli pod naszą wsią grupę alowców, brat przedarł się, postrzelili go, upadł w śnieg. Sam się dobili, żeby nie męczyli. Ale go zostawili tak, jak był, bo miał mundur na sobie. Innych, co byli w cywilu, to do naga rozbił.

Dziwie się spokojowi, z jakim ten młody mężczyzna opowiada o śmierci najbliższych mu ludzi. Jakby zgadując moje myśli, Pożarozczyk mówi dalej:

— My w Przypisówce, musieliśmy do takich rzeczy przywyknąć. Przed wojną policja często w nasze strony zachodziła, a za okupacji to i z samolotów kilka razy naszą wioskę bombardowali i artylerią też dawali się we znaki.

— Na akcje siewną — mówi Marek, gasząc na dloni papierosa z takim spokojem, jakby to robił o podłogę. — Zarząd postarał się z Samopomocy o 800.000 złotych. Powiedziałem chłopakom — obejdźmy się. Ziarno trza dostać na zasiew wyborowe, najlepsze, ale kredytów, długów na głowę nie bierzemy. Dostaliśmy z Centrali Rolniczej ziarno selekcyjne a oddaliśmy nasze. Ot i po wszystkim. Obeszło się bez kredytów. Widział obywatel? Nie pięknie może wiesz?



Tego samego jeszcze dnia rozmawia z Józefem Jurkiem. To jest rozmowa, jak i poprzednia, kradziozna — w dzień roboczy nikt tu chętnie w rozmowy się nie wdaje.

Jurek też jest bardzo młody, też rodem z Przypisówki, ale zdrowy i przystojny jak aktor filmowy. Gdyby nie mowa i akcent przyzywojny tu na Pomorze z rodzinnej lubelszczyzny, trudno byłoby rozpoznać w nim syna małego chłopca.

— Z naszej wioski — opowiada chętnie Jurek — wyszło pięć majorów, ośmiu kapitanów i kilkunastu poruczników. Na całą lubelszczyznę Przypisówka jest sławna, a i teraz nasi tam nie pozostali w tyle i spółdzielnie już założyli. Najpierw była u nas Gwardia Ludowa i broń, cośmy psim swędem zdobyli. A potem, jak już powstała AL, to sowieckich zrzuć mieliśmy pod dostatkim. W 1941 roku miałem 14 lat, jak nas Niemcy z krynówki w oborze wyciągnęli. Ojca, wujka i innych jeszcze. Jednego gospodarza to od razu na podwórzu powiesili, mnie zbili do krwi, a ojca do Lublina zabrali, a potem jego i dwunastu innych do Parczewa wywieźli i tam powiesili.

Czarny, szczerpy i żylasty, czterdziestoletni Marek Panek najmiej chętnie o czasach wojennych opowiada — choć wiadomo, że sam dzielnie w czasie wojny się sprawował, a przez jego wyrobniczą izbę setki partyzantów się przewijało. Panek, choć niepiśmienny, głowę ma bystrą a jego ciętego języka i zapalczywości jest się cała okolica. Dziś Panek jest zjadliwszy, niż zwykle, unieruchomiona od kilkunastu dni w gipsie noga ani chodząc swobodnie mu nie pozwala, ani spać nie daje. Panek chodzi, o kulach, ale chodzi. W łóżku nie uleży, nosi go po obejściu.

— Ja lubię spać do 9-jej a czasem dłużej jeszcze, ale jak stanę do roboty, to za trzech zrobię. Wszyscy to wiedzą, że jak Panek wychodzi w pole, to mu się robota w rękach pali. Więc jakże to będzie? Jak spóźnić się do pracy, to obetną z dniówki, a jak zrobię za trzech, to za jednego dostanę?

Sprawy spółdzielni gnębia go bez końca, rozwiąż mu jedną trudność, a zaraz znajdzie trzy dalsze.

— Bo ja mówię wam, chłopcy, nie bierzcie tyle kredytów, nie budujmy dużo, bo nas utopią w długach, nie podniesiem się z tego.

Marek ma najgorsze, najuboższe bodaj mieszkanie ze wszystkich członków spółdzielni. I dzieciaków troje. Ale kiedy na zebraniu członków Spółdzielni przewodniczący PZGS z Sępólna J. Nogał, też rodak z Przypisówki, zapytuje, kto chce się budować na świeżo wymierzonych działkach — Marek milczy. Choć chce po wyzdrowieniu uczyć się na traktorzystę i wiosenną orkę już samemu poprowadzić — Marek nie przestał jeszcze całkowicie myśleć kategoriami małego chłopca, który pamięta, że jak przed wojną chałupę sobie wystawił, to potem przez trzy lata dzieci ani jajka, ani słoniny nie widzieli. Ale Panek to dobry towarzysz i wszyscy wiedzą, że jak się wypieniacy i wysobiepani, to w przedmiotach pracy mało kto mu dorówna.

Jest już wczesna noc listopadowa. Na polu nieprzeniknione ciemność. Idę po omacku, wzdłuż obejść, tą polną „polską” drogą w kierunku domu, w którym mieszka Panek. Deszcz siąpi, pod nogami chlupot błota. Jedne jasne punkty, przedzierające się z ciemności, to obcięte u nasady, tuż przy pnju konary wierzby przydrożnych. Jeszcze za dnia widząc okaleczale drzewa, rozumiałem, że to ludzie z Kawłi torowali drogę przewodem telefonicznym. Teraz, to świeże jeszcze plamy po obciętych konarach kierują moimi krokami.

Najpierw ciemny przedświec włożony w drewnianą przybudówkę, potem kuchnia, w której sporo obcych i znajomych już twarzy, wreszcie

ten sam Panek rzuca prowokacyjne pytanie. Jest już w spółdzielni kilkanaście koni, za parę dni wyremontuje się stajnie, dziury szczerze cementem pozatyka, okna wstawi, przedgrody przyszykują i konie staną wspólnie, pod jedną już opieką. Po cóż im traktor? Za darmo to go dostaną?

Nikt z obecnych nie podejmuje wezwania: za dobrze znają Panka, za długo spali z nim razem w leśnej ziemiance, żeby się dać nabrać na każdą jego zaczepkę.

— Ale Panek nie rezygnuje tak łatwo. Nie ma dla niego życia bez walki. Niemców już nie ma, a Buda i Białkowski daleko. Chciałby ich tu mieć bliżej... Naciera uparcie dalej, podnosi się z łóżka, ręką wygraża Pożarozczykowi.

— A dlaczego to nie zaprosić Białkowskiego i Budę na nasze zebranie? Nie ludzie to? Czy my tu konspirację jaką odstawiamy, tajemnicę robimy? Tym razem udało mu się. Pożarozczyk spokojnie lecz stanowczo klaruje, że dopóki ich Zespół sam w sobie nie okrzepł, póki wśród nich nie ma jeszcze całkowitej jedności i w pomysłunku i w działaniu — jakże to zapraszać obcych? I czy on, Panek, myśli że dobrze byłoby, żeby bogacza, na ich zebranie zapraszać, dać mu tu gadać, co myśli? Z sobą najpierw dajmy sobie radę, z wywózką obornika, porządkiem w obejściach, remontem stajni i obory, zabezpieczeniem maszyn stojących dotąd na polu, choć zima już blisko, z sobą najpierw, nie myślisz? — A potem, jak już z sobą dojdziem do ładu, jak porośniemy w siłę — nie tylko że o gadaniu z kulakami nie będzie mowy, ale ostrzej jeszcze walcząc nam przyjdzie z Budą i z Białkowskim. Bo im my tu w zespole silniejsi będziemy, im lepsze krowy będą stały w oborze a żyta i pszenicy więcej z hektara rodzic się nam będzie — trzeba będzie ostrzej jeszcze walczyć i to nie tylko z kpiakami i pogadywaniami, że traktor nam niepotrzebny. Jakby nam wtedy ktoś powiedział żeby Białkowskich na zebranie zapraszać, ty pierwszy, Marek, skoczysz mu do oczu i dobrze będziesz wiedział dlaczego!

Panek myśli namiętnie, ale co myśli, nie mówi. Niech się wypowie Woliński, przewodniczący on przeciw Wypych. I naraz podskakuje na łożku, wygraża stojącemu w drzwiach starym Bystrzyckiemu.

— Jak nie przestaniecie tu do mojej baby przychodzić to jeszcze portki kiedy zgubisz.

Wszyscy wybuchają śmiechem. Bystrzycki kulawy i zezowaty, z włosiem zmierzwiłym i wiechowatym, pogodnie przyjmuje ten wybuch. Niech się ludzie śmieją, jeśli nie można inaczej, niech się i z niego. Stary on już, ale nie taki ostatni. Przyjechali tu w 1945 roku razem, mordowali się, choć każdy na swoim, ale jednak gromadą, w kupie, pobogacieli razem.

— Bystrzycki nie patrzy na Spółdzielnię swoim tylko rozumem ani swojej starej, ale gromadnym. Choćby i ten barak na świetlicę, co go stawiał zaczęli. Będzie w nim przedszkole dla dzieci, a on dzieci nie ma i mieć już nie będzie. Ale że jest majstrzem a w świetlicy wieczorem i gazetę ktoś z młodszych poczyta i radia będzie można posłuchać — porucuje przy nim nie mniej od innych. Fundament już postawił, w przyszłym tygodniu wiozł z tartaku barak i w parę dni ustawia. Nie będzie tak smutno żyć jak dotąd, ależ smutno. Bogaciej tu, ale smutniej niż w Przypisówce.

Za tym barakiem, żeby go szybko ustawić, gardują najczęściej kobiety, co dzieciaki mają małe. Nie da to matce zająć się robotą, krzyczy, dokuca, guzy sobie nabija — a jak

Panek nie kończy swojej myśli, nie odpowiada.

We wczorajszej Gazecie Pomorskiej była wiadomość, że z kilkunastu Zetorów, sprowadzonych z Czechosłowacji, jeden przeznaczony jest dla spółdzielni w Kawłach. I oto Panek, który mimo złamanej na traktorze nogi od tygodnia już wygraża, że do nowego traktora nikogo nie dopuści, że sam nim będzie na wiosnę orał,

Jerzy Lau

GDY RZĘKI ZDOBĘDĄ PUSTYNIĘ

W górach Uzbekistanu popiół żarem błyska, tylko w studni woda ma kolor czeresni. Giuzell pasterka patrzy z siódła, jak pustynna zorza na twarz zarzuca zmierzchu czarcaff. Koń grzebie nogą w słońcu ciągnie arbę, błyska zjmia i znika pod kołami syczy piach. Brygadier kolchozu Wania na motorze objężdża step, jutro poprowadzi rzekę w suchy, pustynny piach. Mapę na wietrze rozwija mapę sztabową kolchozu — „Krasnyj Oktiabr”.

Jutro cała brigada twoja sprawę rozpatrzy feodalna staruszko, — przyrodzie pomaga partia. Radzi długo nie będą towarzysze kolchoźnicy wiadomo, że imperialiści nie chcą, aby pustynia miliardy pudów rodziła uzbeckiej pszenicy. W górach Uzbekistanu chce pić rewolucja! Chce żbóz kołysać lany, budować miasta, koleje, a w jarach słońca hodować winnice.

— A ta druga? — wskazuje na fotografię mężczyzny w przedwojennym mundurze plutonowego.

— Tego Niemcy zabili, jak jechał do Warszawy z meldunkami. I drugiego też — wskazuje na inną jeszcze fotografię, z której patrzy bystre, przenikliwe oczy. — Otoczyli pod naszą wsią grupę alowców, brat przedarł się, postrzelili go, upadł w śnieg. Sam się dobili, żeby nie męczyli. Ale go zostawili tak, jak był, bo miał mundur na sobie. Innych, co byli w cywilu, to do naga rozbił.

Dziwie się spokojowi, z jakim ten młody mężczyzna opowiada o śmierci najbliższych mu ludzi. Jakby zgadując moje myśli, Pożarozczyk mówi dalej:

— Na akcje siewną — mówi Marek, gasząc na dloni papierosa z takim spokojem, jakby to robił o podłogę. — Zarząd postarał się z Samopomocy o 800.000 złotych. Powiedziałem chłopakom — obejdźmy się. Ziarno trza dostać na zasiew wyborowe, najlepsze, ale kredytów, długów na głowę nie bierzemy. Dostaliśmy z Centrali Rolniczej ziarno selekcyjne a oddaliśmy nasze. Ot i po wszystkim. Obeszło się bez kredytów. Widział obywatel? Nie pięknie może wiesz?

Tego samego jeszcze dnia rozmawia z Józefem Jurkiem. To jest rozmowa, jak i poprzednia, kradziozna — w dzień roboczy nikt tu chętnie w rozmowy się nie wdaje.

Jurek też jest bardzo młody, też rodem z Przypisówki, ale zdrowy i przystojny jak aktor filmowy. Gdyby nie mowa i akcent przyzywojny tu na Pomorze z rodzinnej lubelszczyzny, trudno byłoby rozpoznać w nim syna małego chłopca.

— Z naszej wioski — opowiada chętnie Jurek — wyszło pięć majorów, ośmiu kapitanów i kilkunastu poruczników. Na całą lubelszczyznę Przypisówka jest sławna, a i teraz nasi tam nie pozostali w tyle i spółdzielnie już założyli. Najpierw była u nas Gwardia Ludowa i broń, cośmy psim swędem zdobyli. A potem, jak już powstała AL, to sowieckich zrzuć mieliśmy pod dostatkim. W 1941 roku miałem 14 lat, jak nas Niemcy z krynówki w oborze wyciągnęli. Ojca, wujka i innych jeszcze. Jednego gospodarza to od razu na podwórzu powiesili, mnie zbili do krwi, a ojca do Lublina zabrali, a potem jego i dwunastu innych do Parczewa wywieźli i tam powiesili.

Czarny, szczerpy i żylasty, czterdziestoletni Marek Panek najmiej chętnie o czasach wojennych opowiada — choć wiadomo, że sam dzielnie w czasie wojny się sprawował, a przez jego wyrobniczą izbę setki partyzantów się przewijało. Panek, choć niepiśmienny, głowę ma bystrą a jego ciętego języka i zapalczywości jest się cała okolica. Dziś Panek jest zjadliwszy, niż zwykle, unieruchomiona od kilkunastu dni w gipsie noga ani chodząc swobodnie mu nie pozwala, ani spać nie daje. Panek chodzi, o kulach, ale chodzi. W łóżku nie uleży, nosi go po obejściu.

— Ja lubię spać do 9-jej a czasem dłużej jeszcze, ale jak stanę do roboty, to za trzech zrobię. Wszyscy to wiedzą, że jak Panek wychodzi w pole, to mu się robota w rękach pali. Więc jakże to będzie? Jak spóźnić się do pracy, to obetną z dniówki, a jak zrobię za trzech, to za jednego dostanę?

Sprawy spółdzielni gnębia go bez końca, rozwiąż mu jedną trudność, a zaraz znajdzie trzy dalsze.

— Bo ja mówię wam, chłopcy, nie bierzcie tyle kredytów, nie budujmy dużo, bo nas utopią w długach, nie podniesiem się z tego.

Marek ma najgorsze, najuboższe bodaj mieszkanie ze wszystkich członków spółdzielni. I dzieciaków troje. Ale kiedy na zebraniu członków Spółdzielni przewodniczący PZGS z Sępólna J. Nogał, też rodak z Przypisówki, zapytuje, kto chce się budować na świeżo wymierzonych działkach — Marek milczy. Choć chce po wyzdrowieniu uczyć się na traktorzystę i wiosenną orkę już samemu poprowadzić — Marek nie przestał jeszcze całkowicie myśleć kategoriami małego chłopca, który pamięta, że jak przed wojną chałupę sobie wystawił, to potem przez trzy lata dzieci ani jajka, ani słoniny nie widzieli. Ale Panek to dobry towarzysz i wszyscy wiedzą, że jak się wypieniacy i wysobiepani, to w przedmiotach pracy mało kto mu dorówna.

— A ta druga? — wskazuje na fotografię mężczyzny w przedwojennym mundurze plutonowego.

— Tego Niemcy zabili, jak jechał do Warszawy z meldunkami. I drugiego też — wskazuje na inną jeszcze fotografię, z której patrzy bystre, przenikliwe oczy. — Otoczyli pod naszą wsią grupę alowców, brat przedarł się, postrzelili go, upadł w śnieg. Sam się dobili, żeby nie męczyli. Ale go zostawili tak, jak był, bo miał mundur na sobie. Innych, co byli w cywilu, to do naga rozbił.

Dziwie się spokojowi, z jakim ten młody mężczyzna opowiada o śmierci najbliższych mu ludzi. Jakby zgadując moje myśli, Pożarozczyk mówi dalej:

— My w Przypisówce, musieliśmy do takich rzeczy przywyknąć. Przed wojną policja często w nasze strony zachodziła, a za okupacji to i z samolotów kilka razy naszą wioskę bombardowali i artylerią też dawali się we znaki.

— Na akcje siewną — mówi Marek, gasząc na dloni papierosa z takim spokojem, jakby to robił o podłogę. — Zarząd postarał się z Samopomocy o 800.000 złotych. Powiedziałem chłopakom — obejdźmy się. Ziarno trza dostać na zasiew wyborowe, najlepsze, ale kredytów, długów na głowę nie bierzemy. Dostaliśmy z Centrali Rolniczej ziarno selekcyjne a oddaliśmy nasze. Ot i po wszystkim. Obeszło się bez kredytów. Widział obywatel? Nie pięknie może wiesz?

Tego samego jeszcze dnia rozmawia z Józefem Jurkiem. To jest rozmowa, jak i poprzednia, kradziozna — w dzień roboczy nikt tu chętnie w rozmowy się nie wdaje.

Jurek też jest bardzo młody, też rodem z Przypisówki, ale zdrowy i przystojny jak aktor filmowy. Gdyby nie mowa i akcent przyzywojny tu na Pomorze z rodzinnej lubelszczyzny, trudno byłoby rozpoznać w nim syna małego chłopca.

— Z naszej wioski — opowiada chętnie Jurek — wyszło pięć majorów, ośmiu kapitanów i kilkunastu poruczników. Na całą lubelszczyznę Przypisówka jest sławna, a i teraz nasi tam nie pozostali w tyle i spółdzielnie już założyli. Najpierw była u nas Gwardia Ludowa i broń, cośmy psim swędem zdobyli. A potem, jak już powstała AL, to sowieckich zrzuć mieliśmy pod dostatkim. W 1941 roku miałem 14 lat, jak nas Niemcy z krynówki w oborze wyciągnęli. Ojca, wujka i innych jeszcze. Jednego gospodarza to od razu na podwórzu powiesili, mnie zbili do krwi, a ojca do Lublina zabrali, a potem jego i dwunastu innych do Parczewa wywieźli i tam powiesili.

Czarny, szczerpy i żylasty, czterdziestoletni Marek Panek najmiej chętnie o czasach wojennych opowiada — choć wiadomo, że sam dzielnie w czasie wojny się sprawował, a przez jego wyrobniczą izbę setki partyzantów się przewijało. Panek, choć niepiśmienny, głowę ma bystrą a jego ciętego języka i zapalczywości jest się cała okolica. Dziś Panek jest zjadliwszy, niż zwykle, unieruchomiona od kilkunastu dni w gipsie noga ani chodząc swobodnie mu nie pozwala, ani spać nie daje. Panek chodzi, o kulach, ale chodzi. W łóżku nie uleży, nosi go po obejściu.

— Ja lubię spać do 9-jej a czasem dłużej jeszcze, ale jak stanę do roboty, to za trzech zrobię. Wszyscy to wiedzą, że jak Panek wychodzi w pole, to mu się robota w rękach pali. Więc jakże to będzie? Jak spóźnić się do pracy, to obetną z dniówki, a jak zrobię za trzech, to za jednego dostanę?

Sprawy spółdzielni gnębia go bez końca, rozwiąż mu jedną trudność, a zaraz znajdzie trzy dalsze.

— Bo ja mówię wam, chłopcy, nie bierzcie tyle kredytów, nie budujmy dużo, bo nas utopią w długach, nie podniesiem się z tego.

Marek ma najgorsze, najuboższe bodaj mieszkanie ze wszystkich członków spółdzielni. I dzieciaków troje. Ale kiedy na zebraniu członków Spółdzielni przewodniczący PZGS z Sępólna J. Nogał, też rodak z Przypisówki, zapytuje, kto chce się budować na świeżo wymierzonych działkach — Marek milczy. Choć chce po wyzdrowieniu uczyć się na traktorzystę i wiosenną orkę już samemu poprowadzić — Marek nie przestał jeszcze całkowicie myśleć kategoriami małego chłopca, który pamięta, że jak przed wojną chałupę sobie wystawił, to potem przez trzy lata dzieci ani jajka, ani słoniny nie widzieli. Ale Panek to dobry towarzysz i wszyscy wiedzą, że jak się wypieniacy i wysobiepani, to w przedmiotach pracy mało kto mu dorówna.

Jest już wczesna noc listopadowa. Na polu nieprzeniknione ciemność. Idę po omacku, wzdłuż obejść, tą polną „polską” drogą w kierunku domu, w którym mieszka Panek. Deszcz siąpi, pod nogami chlupot błota. Jedne jasne punkty, przedzierające się z ciemności, to obcięte u nasady, tuż przy pnju konary wierzby przydrożnych. Jeszcze za dnia widząc okaleczale drzewa, rozumiałem, że to ludzie z Kawłi torowali drogę przewodem telefonicznym. Teraz, to świeże jeszcze plamy po obciętych konarach kierują moimi krokami.

Najpierw ciemny przedświec włożony w drewnianą przybudówkę, potem kuchnia, w której sporo obcych i znajomych już twarzy, wreszcie

— A ta druga? — wskazuje na fotografię mężczyzny w przedwojennym mundurze plutonowego.

— Tego Niemcy zabili, jak jechał do Warszawy z meldunkami. I drugiego też — wskazuje na inną jeszcze fotografię, z której patrzy bystre, przenikliwe oczy. — Otoczyli pod naszą wsią grupę alowców, brat przedarł się, postrzelili go, upadł w śnieg. Sam się dobili, żeby nie męczyli. Ale go zostawili tak, jak był, bo miał mundur na sobie. Innych, co byli w cywilu, to do naga rozbił.

Dziwie się spokojowi, z jakim ten młody mężczyzna opowiada o śmierci najbliższych mu ludzi. Jakby zgadując moje myśli, Pożarozczyk mówi dalej:

— My w Przypisówce, musieliśmy do takich rzeczy przywyknąć. Przed wojną policja często w nasze strony zachodziła, a za okupacji to i z samolotów kilka razy naszą wioskę bombardowali i artylerią też dawali się we znaki.

— Na akcje siewną — mówi Marek, gasząc na dloni papierosa z takim spokojem, jakby to robił o podłogę. — Zarząd postarał się z Samopomocy o 800.000 złotych. Powiedziałem chłopakom — obejdźmy się. Ziarno trza dostać na zasiew wyborowe, najlepsze, ale kredytów, długów na głowę nie bierzemy. Dostaliśmy z Centrali Rolniczej ziarno selekcyjne a oddaliśmy nasze. Ot i po wszystkim. Obeszło się bez kredytów. Widział obywatel? Nie pięknie może wiesz?

Tego samego jeszcze dnia rozmawia z Józefem Jurkiem. To jest rozmowa, jak i poprzednia, kradziozna — w dzień roboczy nikt tu chętnie w rozmowy się nie wdaje.

Jurek też jest bardzo młody, też rodem z Przypisówki, ale zdrowy i przystojny jak aktor filmowy. Gdyby nie mowa i akcent przyzywojny tu na Pomorze z rodzinnej lubelszczyzny, trudno byłoby rozpoznać w nim syna małego chłopca.

— Z naszej wioski — opowiada chętnie Jurek — wyszło pięć majorów, ośmiu kapitanów i kilkunastu poruczników. Na całą lubelszczyznę Przypisówka jest sławna, a i teraz nasi tam nie pozostali w tyle i spółdzielnie już założyli. Najpierw była u nas Gwardia Ludowa i broń, cośmy psim swędem zdobyli. A potem, jak już powstała AL, to sowieckich zrzuć mieliśmy pod dostatkim. W 1941 roku miałem 14 lat, jak nas Niemcy z krynówki w oborze wyciągnęli. Ojca, wujka i innych jeszcze. Jednego gospodarza to od razu na podwórzu powiesili, mnie zbili do krwi, a ojca do Lublina zabrali, a potem jego i dwunastu innych do Parczewa wywieźli i tam powiesili.

Czarny, szczerpy i żylasty, czterdziestoletni Marek Panek najmiej chętnie o czasach wojennych opowiada — choć wiadomo, że sam dzielnie w czasie wojny się sprawował, a przez jego wyrobniczą izbę setki partyzantów się przewijało. Panek, choć niepiśmienny, głowę ma bystrą a jego ciętego języka i zapalczywości jest się cała okolica. Dziś Panek jest zjadliwszy, niż zwykle, unieruchomiona od kilkunastu dni w gipsie noga ani chodząc swobodnie mu nie pozwala, ani spać nie daje. Panek chodzi, o kulach, ale chodzi. W łóżku nie uleży, nosi go po obejściu.

— Ja lubię spać do 9-jej a czasem dłużej jeszcze, ale jak stanę do roboty, to za trzech zrobię. Wszyscy to wiedzą, że jak Panek wychodzi w pole, to mu się robota w rękach pali. Więc jakże to będzie? Jak spóźnić się do pracy, to obetną z dniówki, a jak zrobię za trzech, to za jednego dostanę?

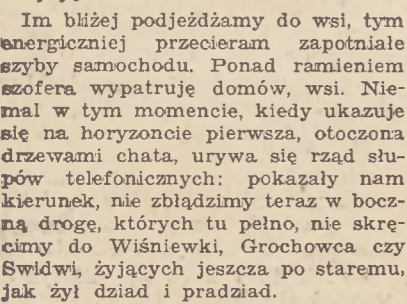
Sprawy spółdzielni gnębia go bez końca, rozwiąż mu jedną trudność, a zaraz znajdzie trzy dalsze.

— Bo ja mówię wam, chłopcy, nie bierzcie tyle kredytów, nie budujmy dużo, bo nas utopią w długach, nie podniesiem się z tego.

Marek ma najgorsze, najuboższe bodaj mieszkanie ze wszystkich członków spółdzielni. I dzieciaków troje. Ale kiedy na zebraniu członków Spółdzielni przewodniczący PZGS z Sępólna J. Nogał, też rodak z Przypisówki, zapytuje, kto chce się budować na świeżo wymierzonych działkach — Marek milczy. Choć chce po wyzdrowieniu uczyć się na traktorzystę i wiosenną orkę już samemu poprowadzić — Marek nie przestał jeszcze całkowicie myśleć kategoriami małego chłopca, który pamięta, że jak przed wojną chałupę sobie wystawił, to potem przez trzy lata dzieci ani jajka, ani słoniny nie widzieli. Ale Panek to dobry towarzysz i wszyscy wiedzą, że jak się wypieniacy i wysobiepani, to w przedmiotach pracy mało kto mu dorówna.

Jest już wczesna noc listopadowa. Na polu nieprzeniknione ciemność. Idę po omacku, wzdłuż obejść, tą polną „polską” drogą w kierunku domu, w którym mieszka Panek. Deszcz siąpi, pod nogami chlupot błota. Jedne jasne punkty, przedzierające się z ciemności, to obcięte u nasady, tuż przy pnju konary wierzby przydrożnych. Jeszcze za dnia widząc okaleczale drzewa, rozumiałem, że to ludzie z Kawłi torowali drogę przewodem telefonicznym. Teraz, to świeże jeszcze plamy po obciętych konarach kierują moimi krokami.

Najpierw ciemny przedświec włożony w drewnianą przybudówkę, potem kuchnia, w której sporo obcych i znajomych już twarzy, wreszcie



— Było więc rozmaicie... Pożarozczyk nie nie odpowiada na to, widąc, że przebiega myślami tak niedawną w czasie przeszłość.

— Gdzieś koło 6 września — ciągnie dalej — przyjechał z Sępólna Nogał z trzema traktorami. I zaczęliśmy orać. Doorywaliśmy kornia, podzurcilo się nawozów, bronowało. Po paru dniach obsialiśmy 53 ha żytem selekcyjnym.

— Wszyscy? — pytam nieśmiało. — Nie, nie wszyscy. Niektórzy siedzieli w domu, przed opłatki najwyżej wychodząc a mówili, że muzykanty przyjechali. Ale też grały te traktory.

— A z obornikiem, jakie macie kłopoty? — Ze statutu wynika, że w pierwszym roku, zanim jeszcze krowy staną we wspólnej oborze, każdy sam na pole obornik musi rozrzucać. Zima już za pasem, obornik po rozrzucaeniu przeorać trzeba jeszcze, żeby woda siły z niego nie zmyła, a tymczasem i swojej prywatnej roboty jest jeszcze sporo. To może jedynie, czegośmy dotychczas do końca nie zrobili.

— Wypych mi mówił, że wyście swój już rozrzućli wszystkie i Jurek także.

— No, jak się jest w zarządzie, to nie sposób być ostatnim.

Rozmowę prowadzimy w mieszkaniu. Ciężkie, rozległe, solidnie i dostojnie z zewnątrz wyglądające zabudowania, wzniesione przez bogatych osadników niemieckich, wewnątrz są ponure i zmne. Rozglądam się po ścianach: makatka zawieszona po przeciwległej do okna ścianie jest wyraźnie wilgotna. Instynktownie przeczucam wzrok na rozmówcę: tym samym, automatycznym ruchem znowu ociera zapocone czoło.

Na ścianie fotografie. Na jednej dwu czerwonoarmistów. Wskazuję ręką. — Ten z lewej to mój brat, uciekł do Związku Radzieckiego jeszcze w 1937. Policja go szukała.

— Ten z lewej to mój brat, uciekł do Związku Radzieckiego jeszcze w 1937. Policja go szukała.



lubielskiej, do ostatniego nowego życia. Niektórzy z nich jeszcze przed wojną zaufali swojemu instynktowi klasowemu, wszyscy zaufali mu w latach wojny, teraz świadomie — choć nie bez wewnętrznych oporów — zawarli się organizacją partyjną, która prowadzi ich drogą trudniejszą dla chłopca niż partyzanta, niż wysadzenie pociągów z hitlerowskimi transportami, drogą codziennej walki z sobą i z otoczeniem, z nawykami odziedziczonymi niemal, drogą nie tanio osiaganego postępu. Jeśli się nie chcą cofnąć, jeśli pomyślą o dzieciach — jakąż drogą im pozostać? Dzieci przeciw zacząć podraść, szkoły pokochać, zechcą się usamodzielnic, poźni, pójdą na swoje — z czymże pójdą? Co im dać można? Znowu, jak ich dziadowie i ojcowie w lubelszczyźnie, dzielił musieliby bez końca te kilka hektarów na coraz mniejsze spłachetki, na wyrobnińki posłać własne dzieci do Białkowskich i Budów, a w końcu może i całkiem z ziemi się wyprzedać?

Z miejsca, w którym siedzę, widąc poprzez uchylone drzwi do izby kuchennej krzątającą się przy palenisku Pankowa. W gumowych butach na boscie nogi, w chustce ciężkiej, włóczkowej, zakrywającej głowę i część twarzy, Pankowa krząta się przy palenisku. Odstawia na podłogę ciężki garnek z lanego żelaza, z którego dymy kapusta, zdejmując patyki duże fajerki, kładzie garnek z powrotem w powiększony otwór biału. Schyla się raz jeszcze, podruca w ogniu kawałki suchego torfu. Dzieci już marudzą, trzeba przyspieszyć kolację.

Kuchenna izba też pełna jest ludzi. Młoda, uroczą jak jej brat żona Jana Sowy siedzi najbliżej drzwi, obok żona Ligęzy, skupiona i jak zawsze poważna. Wszystkie robią na drutach i rozmawiają nie podnosząc oczu z nad roboty.

Znowu dziś przejeżdżał koło nas jacyś z Wiśniewki. Nakładają drogi, żeby patrzeć, pospiegować. Pytali, czy już jemy wszyscy ze wspólnego kotła... Żona Sowy, młoda, zdrowa i dziewczynie uroczą, najdłuższą przebyła drogę. Przyznaje się do tego otwarcie, że jeszcze rok temu słyszeć nie chciała o Spółdzielni. My

ŁUDZIE Z PRZYPISÓWKI

(dokończenie ze str. 3)

Mieczysław przerwał na chwilę a potem, jakby kończąc niedopowiedzianą myśl, dodaje:

— Ale z Rybaka chłop w duszy nie najgorszy, popracować nad nim trzeba jeszcze będzie.

Leżymy już w łóżku, okryci ciężką pierzyną. Ligęzowa, zajmując wraz z mężem drugi pokój, zabrała lampkę naftową. Przez oskłonione drzwi do sąsiedniej izby, osłonięte perkalikową zasłoną, przebiega żółte światło. Mieczysław oddycha ciężko, nierówno — słyszę jak co parę minut wyciąga rękę spod pierzyny i ociera chustką pot z twarzy.

— Zdałoby wam się wyjechać na leczenie, choć na sześć tygodni do jakiegoś sanatorium. Należyście przecież do Związku Walki o Niepodległość i Demokrację, powinni wam pomóc.

— Jakoś to ciężko idzie, załatwić trudno, nie bardzo o nas pamiętają dawni towarzysze... A zresztą, żal rzucać pracę, za dużo tu się włożyło.

Mieczysław nie mówi w pierwszej osobie i czuje, że nie mówi wszystkim.

Nie pytam więcej. Zасыpiam myśląc o Warszawie.

Dzisiaj niedziela. Kolo południa zjawil się w osadzie Nogal.

— No, chłopcy, na zebranie idziemy.

U Wolińskiego wszyscy się nie mieszczą. Przechodzimy do dużej izby zamienionej na tymczasową świetlicę. Pieca tu nie ma, zimno, pod ścianami ustawiono ławy. Mały stolik i kilka krzeseł dla Zarządu. Nad stolikiem portret Prezydenta.

Nogal, mający za sobą trzy lata sanacyjnego wzięcia, też jest rodem z Przypisówki. Ludzie go tu znają, rozumieją. Zwolną zebranie członków Zespołu, prowadzi je teraz Woliński. Spokojny, czterdziestoparolletni, gładko wygolony — Woliński punkt po punkcie czyta porządek dzienny, sam protokuluje uchwały, rzadko dorzuca swoje uwagi do dyskusji.

Sprawa remontu stajni i zakupu inwentarza najwyższą wywołuje dyskusję. Najmniej kłopotu z barakami, wszyscy się godzą we wtorek pojechać wozami do Sępólna i barak zwieźć na miejsce. Trzeba się z tym pośpieszyć, żeby jeszcze przed adwentem uroczyście otworzyć urządek. Bo przecież zabawa przy tym będzie, robotnicy z Bydgoszczy przyjadą i okolicznych chłopów sporo najdzie. A w adwent nie sposób, po co ludzi drażnić.

— A kiedy adwent — zapytuje Kamiński — przecież barak nie tylko zwieźć, ale i ustawić, oporzędzić?

Jeden patrzy na drugiego, kobiety pytają — wybuchaają wszyscy śmiechem.

— Pobożny naród — stwierdza ze śmiechem Woliński i zaczyna wertować kalendarz.

Przy dyskusji na temat zużycia 220.000 kredytów inwestycyjnych Panek znowu walczy, jak najmniej chciałby z nich wydatkować. A dopiero przy krówach, gdy zaczęto mówić, ile to krów Zespół powinien mieć w oborze — poznałem innego Panka.

— Ja bym kupił jak najwięcej, choćby i dwadzieścia prócz tych, które sami do Spółdzielni wniesiemy. Krowa się wypłaci, zarobi na siebie, na nas jeszcze zarobi. Ja bym i z tych inwestycyjnych pieniędzy także krów kupił!



— A pasza, skąd paszy na zime weźmiemy? — pyta Bystrzycki.

— I na paszę zarobim, byle miesiąc wytrzymać aż pieniądze z mleczarni za mleko przyjdą. Wiosną będzie droższe, nikt mlecznej krowy nie chce sprzedać.

Dyskusja robi się coraz bardziej gorącą, biorą w niej udział wszyscy. W poniedziałek Woliński ma być na zebraniu w Bydgoszczy, sprawę kredytów na zakup krów teraz trzeba rozstrzygnąć. Ile też krów Zespół winien trzymać, ile słoń hodować? O słońach mówią niechętnie.

Swinie to loteria, ja bym nie ryzykował, zaraza może wybić, ale jeśli uda się dostać kredyty na krowy, to kupmy ile się da.

— A u siebie słoń nie trzymasz? — śmieje się z Panka Sowa — nie boisz się zarazy?

Wezorem wieczorem geometra skończył wycząć i działki przynagrodzić i nową drogę do Kawli. Czas więc zacytować, kto którą działkę bierze.

Kiedy już wybrali, Woliński zamyka zebranie i mimo sikającego deszczu wychodzi z wszystkich na pole. Na lekkim wzgórku za obęściami, wzdłuż starej drożki prowadzącej do sąsiedniej wsi, w równych odstępach powbijano paliki. Idziemy od słupa do słupa, każdy ogląda swoją działkę, dyskutuje gdzie zasadzić jablonki, które już z Samopomocy nadeszły, brniemy dalej i dalej, grzeznąć po kostki w mokrym kartofliku.

Tylko Marek Panek musiał zostać w osadzie, ze świetlicy pokuścił do domu. I tuż się tam teraz pewnie po ciśnień izbie, liczy, przelicza, Spółdzielnie od nowa niecjuje.

KAJETAN KOTOWICZ



Opiekunka obory Barczakówna, przo downica pracy Fot. K. Jarochowski

Wiatr wiał, sypał mokrym śniegiem. W świetlicy Związku Robotników Rolnych w Chyszowie schodzili się pierwsi robotnicy na naradę produkcyjną. Przyszli wcześniej, by obejrzyć wykonane przy jej remoncie i rozszerzeniu prace.

W ten półmroczny się czas przyjechała z 50 hektarowego majątku Tarnowice, należącego do zespołu Chyszów, furmanka. Czerwony z obwisłą wargą furman krzyknął w stronę Sosnowskiego, wychodzącego z chlewni:

— Stańcie tam, podjadę i wywałę wam ziemniaki dla słoń.

— Obejrzyj pierw.

Podszedł, jego szyja wyciągnęła się, jak guma nad drewnianą paką, wreszcie w oczy furmana uderzyły gniewne żrenice. Jednocześnie Sosnowski kategorycznie machnął ręką.

— Nie, nie przyjmę takiego śmiecia. Te ziemniaki są z gnojem do tego nadmarznięte.

— Dla słoń przecież... — nieśmiało bronił się furman z Tarnowca.

Sosnowski, jak nadopięty na bolące miejsce, podskoczył zirytowany.

— Myślicie, że słoń tu już wszystko zeżre. Że to niby słoń. ...Może i zeżre, — refleksował się — ale patrz końca... A koniec taki — nie wybierzesz niezjedzone jądło z koryta, to ono skwaśnieje, późni słońca zeżre, ale straci apetyt. Dasz coś nieczyste, zmarznięte, spleśniałe, nadgnięte, zepsute albo i skiełkowane ziemniaki, albo i otręby z żyta ze sporyszem, i już — gotowe u maciory poronienie. Calkiem ludzka rzecz.

— Wypłuczcie, obierzcie i będzie — mitygować dostawca — Coż ja winien, takie mi nawalili na furę, takie przywozłem.

— Trza było pierw sprzątnąć z pola, a nie czekać roztopów i przymrozków. Myśmy tu zdążyli, to i wy mogliście. Widzicie ich, ja se będę za leniów ręce urabiał. A to mi... a to mi...

Nagle stuknął się w czoło.

— A Partia gdzie? Partia gdzie? Furman cofnął się. — Jest — szepnął, nie wiedząc, do czego Sosnowski dąży.

— Jest... jest... — przedrzeźniał. A gdzie organizacja podstawowa była, gdy ziemniaki marzyły? Też kolo pieca siedzieli? My ich nauczmy roboty, oo, nauczmy — pogroził i spluwając, odstąpił od wozu.

Furman rozłożył bezradnie ręce.

— No to co ja mam zrobić? — Możesz wysypać na gumnie, niech wszyscy widzą, jaka u was kultura, my tego kryć nie będziemy — odciał i pokuszył do świetlicy.

Tow. Sosnowski złamał nogę w służbie dziedzica. Spadł w czasie żniw z broda na ubitą, twardą ziemię. Dziedzic, na którego skute życie Sosnowski pracował szereg lat, nie zajął się nim, bo po co? Robotników za marne grosze było przed wojną pod dostatkiem, życie ich śmierć jednego robotnika dla pana dziedzica było obojętne. Ale Sosnowski wykurował się domowymi sposobami — żywkostem.

— To ustrój obszarniezo — kapita. listyczny okulał mi — mawiał często tow. Sosnowski, sześciuściecioletni, uświadomiony, bojowy rewolucjonista, dziś przodownik w akcji „H” na terenie PGR-ów.

Zebranie rozpoczęło się. Przewodniczący Rady Rolnej, prawie dotykając rzesami kartki, czytał porządek dzienny zabrania robotniczego. Czytał cicho, urywny, ten i ów zawał ręką jak szmatką jedno ucho, by lepiej słyszeć drugim. W nikłym, jakby przypożronym świetle twarzy i ubioru zebranych robotników tworzyły obraz szaryzny. Na oko, tak. A może nie tylko na oko, minęły przecież pierwsze miesiące powojenne, kiedy było niewątpliwie także dużo dobrej woli i chęci pracy, ale każdy bez dyspozycji czuł się poniekąd obrońcą przyszłości i budowniczym przyszłości na własną rękę. Teraz rozważa i dyscyplina powinny poruszać myśl robotniczą. W spokojnej rozważa jasniej się widzi obowiązki i prawa.

W punkcie pierwszym programu zebrania robotniczego było sprawozdanie tow. Józefa Sosnowskiego na temat perspektyw realizacji jego zobowiązań na odcinku przychówku prosiat w związku z rzuconym wezwaniem do współzawodnictwa pod adresem innych PGR-ów.

Tow. Sosnowski wezwał 1 lipca 1949 r. wszystkie PGR-y do współpracy w dziedzinie wychowu prosiat. Swoją normę zobowiązania określił na 22 prosiat przeciętnie od każdej maciory do lipca 1950 roku. Jednocześnie tow. Parys, oborowy, wezwał wszystkie PGR-y do współzawodnictwa w podniesieniu mleczności krów. Zobowiązał się

osiągnąć w ciągu roku od dwudziestu paru krów przeciętnie po 4500 litrów mleka.

W ubiegłym roku uzyskał tow. Sosnowski przeciętnie po 20 prosiat od maciory. Zdałoby się, że dwa prosiata więcej nie stanowi kwestii specjalnego trudu. A jednak tak nie jest. Trzeba wyteżonej walki, trzeba skupienia wszystkich sił i pieczołowitości, by nie dopuścić do zmarnowania ani jednej sztuki. Jak się sprawa przedstawia po półrocznym wyścigu o wykonanie podniesionej dobrowólnie normy?

Tak jest z tym zobowiązaniem „świńskim”, prosię towarzyszy i obywateli — zaczął dobitnie. Macior mamy osiem, niezłych, zobowiązanie chyba wypełni. Bo siedem już się wyprosiło, kto wie, czy dziś w nocy nie zlegnie „Dina”. Jest dotąd 71 sztuk małych, „Dina” będzie miała na pewno przynajmniej dziesięć, to za półroczu, w którym każda miała młot, otrzymam 81 sztuk. To dopiero czterdzieści pięć procent... (Tak se wyczuliem). W pół roku powinno być przynajmniej pięćdziesiąt procent, bo wszystkie maciory prosiły się w tym półroczu. Ale taki procent, to nie wina macior, to moja wina — odświadczył odważnie.

— Co, żeś im nie pomógł rodzić? — dobiegł ze środka sali chichot. Kobiety zacisnęły usta rękami, by nie wybuchnąć śmiechem.

Sosnowski omacał oczami środek sali, dopiękowały śmiech nie wprowadził go z równowagi, zresztą wiedział, że wynikał nie ze złościwości. I on się uśmiechnął mimochodem, ale natychmiast ruchem palca, jakby zmaszał uśmiech i jedną rękę przyciskając do piersi, drugą wyrzucając naprzód zaciśniętą, jakby chciał wtłoczyć wypowiadaną

prawdę we wszystkich towarzyszy, zaznaczył:

— Tak, zawsze wyniki zależą od człowieka. No, ja przez to jestem winien, ale nadrobie... Na przykład — „Akwa” jak chodziła z miotem, nie przypilnowałem. Wypuściłem raz do okólnika, sparły się dwie w drzewkach i „Akwa” odarła brzuch. Wiedziałem, że będzie źle. I stało się źle. Tylko dwa małe z niej dobre, dziecinnie szmelc. To znaczy, że mógłbym być łatwo za półroczu przekroczyć plan, gdyby nie moja nieuwaga.

Zrobił pauzę i zaraz zapytał:

— Jaki z tego, towarzysze, wniosek? Że trzeba lepiej pilnować macior... Ze ja muszę ściśle się trzymać przepisów, by maciory w drugim półroczu wydały jak najwięcej. Ja muszę wykonać zobowiązanie!

Rzucił hasło dla osobistej realizacji. Podjęli je jednak wszyscy.

— Pewnie, że musisz — odkryknęto z aplauzem. Oborowy Parys wyszczerzył zęby do swej pomocnicy Barczakówny. — Stary, ale jary do roboty, prawdziwy towarzysze.

A z tyłu ktoś jeszcze rzucił, dopingując.

— Jakbyś poszkapał, wstyd był nam wszystkim zrobić.

Sosnowski przeszedł do drugiego rozdziału swego przemówienia. Praktyka wykazuje, że jest możliwe osiągnięcie dwudziestu dwóch prosiat od maciory rocznie przy czterech młotach na dwa lata. Ale można na pewno i więcej, ino trzeba pamiętać dobrze... A trzeba myśleć! Państwo woła o więcej mięsa: ilość pogłowia nierogacizny wzrosło, jeśli się rozszerzy i udoskonali wychów prosiat. Tak na przykład prosta świńniarka Stecenko z kolchozu imienia Woroszyłowa na Ukrainie zobowiązała się dać od każdej z powierzonych jej

1. SPRAWA KRYTYKI

Książka Teodora Goździkiewicza „Lipnicki Świat”¹⁾ to jeszcze jedna próba ukazania pełnego obrazu wsi przedwojennej. Książka Goździkiewicza jest książką „stara”. Powstała w latach 1940 — 1941, jej akcja toczy się w Polsce przedrewolucyjnej. Być może ocenianie jej według surowej miary współczesnej krytyki marksistowskiej byłoby nie bardzo „sprawiedliwe” dla autora. Tyleż przecież innych książek, nawet później napisanych, spotkało się z pochwałą krytyków i jako takie pokutują do dziś w świadomości mas czytelników, może tylko dlatego, że ta krytyka podszywająca się pod „marksistowską”, była w gruncie rzeczy krytyką eklektyczną, sięgającą po kryteria ocen do „bagażu dwudziestolecia”.

Z drugiej strony szeroki ruch rewidowania własnej i cudzej przeszłości twórczej, samokrytyki i krytyki, stawia dziś przed recenzentem zadanie nowego ustosunkowania się do dawnego dorobku pisarza i przyjęcia mu tą drogą z pomocą w skomplikowanym procesie przekształcania świadomości twórczej. „Krytyka marksistowska — zauważa Włodzimierz Sokorski — powinna świadomie zmniejszać dystans dzielący nas od pisarzy bezpartyjnych, przez rzeczowe i męskie naświetlenie obciążeni i nawyków przeszłości, tych nawyków, które utrudniają im dojście do ukształtowania typu literatury socjalistycznej”²⁾.

Nawiasem mówiąc, wydaje się, że nadszedł czas, by krytyce poddali się i sami krytycy, zwłaszcza ci, którzy winni są zadośćuczynieniu oszołomianym przez siebie i utrzymywanym przez pochlebstwa na błędnej drodze, pisarzom. Ci, dla których „niezrozumiałstwo, pseudopsychologizm i bełkot egotyczny”, wytknięte przez Sokorskiego, były przedmiotem smakoszkowskich, Lukullusowych uczu intelektualnych.

Spróbujmy więc w spojrzeniu na „Lipnicki świat” uwzględnić perspektywę toczącej się właśnie na łamach prasy literackiej dyskusji oraz wyniki ostatniej konferencji literatów, a może, operując kryteriami realizmu socjalistycznego, uda nam się znaleźć odpowiedź na pytanie, czy i o ile postawa autora zajęta w tej książce mogłaby być dla niego punktem wyjścia w dalszej twórczości, do których wartości tej książki mogłaby w sposób twórczy nawiązywać, co zaś jest w niej owym „złym bagażem przeszłości”, który należałoby odrzucić.

¹⁾ Teodor Goździkiewicz: „Lipnicki świat”. Książka i Wiedza, 1949.

²⁾ Włodzimierz Sokorski: „Problematyka dyskusji literackich”. „Kuźnica” Nr 9, 1950 r.

WŁADYSŁAW MACHEJEK

SOCJALISTYCZNA

macior 27 prosiat rocznie. I to samo jest możliwe w Chyszowie i wszędzie w Polsce.

— Niemożliwe! — przeciął rozważania zupełnie niespodziewanie administrator, przysadkowy, czarny. Gniewnie zapalił papierosa, powstając i siadając z powrotem.

Zebrani otworzyli usta, wzrok skierował się na Sosnowskiego. Pokiwał głową i zaśmiał się ironicznie. Znał było, że z uniżonością i cukrowaniem dawno skończył.

— A w Związku Radzieckim — możliwe? — spytał krótko administratora.

— Nie wiem...

— Ale ja wiem i powiem — odpalił zdecydowanie i począł powoli tłumaczyć. — Żadnych cudów kolchozika Stecenko nie będzie robić. Chłopska zdrową głową doszła do swej recepty. Trzeba odstawić prosiata od matek wcześniej, nie dopiero po 2 miesiącach. Maciory powinny się huknąć już po 1 i pół miesiącu, to wtedy będzie pięć młotów przez dwa lata. Albo i inaczej — zamysłili się i zerknął na administratora, siedzącego w pierwszym rzędzie i kręcącego z dezaprobatą głową — można nie odstawić prosiat od cyków wcześniej, ale jak ino się maciory zechce kawalera, dopuścić ją, ale zwiększyć jej zaraz ilość i żywoność pokarmu. Bo jeśli nie — to prosiata wyjdą nierówne. I takim maciorom powinno się dawać trzy razy dnia, a nie dwa razy.

— Norma jest do żywienia i więcej wydać nie wolno — zastrzegł administrator, szczyjąc nerwowo wąski wąsik, sterczący pod nosem, jak grudek ziemi.

— Rada Rolna postanowi, jak będzie trzeba — Sosnowski wytknął

— Nie było w co ręk włożyć — wspominał rzewnie Parys. Po parcalacji została resztówka 100 ha, ale coż ona warta bez warsztatu? Na pół wartości albo i mniej.

Rozkładał bezradnie ręce.

— Nie było w co ręk włożyć — wspominał rzewnie Parys. Po parcalacji została resztówka 100 ha, ale coż ona warta bez warsztatu? Na pół wartości albo i mniej.

Rozkładał bezradnie ręce.

— Nie było w co ręk włożyć — wspominał rzewnie Parys. Po parcalacji została resztówka 100 ha, ale coż ona warta bez warsztatu? Na pół wartości albo i mniej.

Rozkładał bezradnie ręce.

— Nie było w co ręk włożyć — wspominał rzewnie Parys. Po parcalacji została resztówka 100 ha, ale coż ona warta bez warsztatu? Na pół wartości albo i mniej.

Rozkładał bezradnie ręce.

— Nie było w co ręk włożyć — wspominał rzewnie Parys. Po parcalacji została resztówka 100 ha, ale coż ona warta bez warsztatu? Na pół wartości albo i mniej.

Rozkładał bezradnie ręce.

— Nie było w co ręk włożyć — wspominał rzewnie Parys. Po parcalacji została resztówka 100 ha, ale coż ona warta bez warsztatu? Na pół wartości albo i mniej.

Rozkładał bezradnie ręce.

EDMUND NIZIURSKI

REALIZM ALE CZY

2. RZECZYWISTOŚĆ I METODA

Akcję powieści osadził autor we wsi Polski centralnej pod datą: czerwiec 1937 r. Ta data ma dla nas specjalne znaczenie. Są to czasy, gdy kryzys „oficjalnie” i może zbyt pochopnie „pochowany” w mieście — „nieoficjalnie” prosperował sobie dalej na wsi, jakby z niej już nie miał nigdy odejść, wyradzając się w jakiś przerażający, trwały stan nędzy. Zwróćmy również uwagę, że czasy te, to jednocześnie okres zastraszającej się walki klasowej, aktywizacji i radykalizacji ruchu chłopskiego, o czym świadczy fala strajków chłopskich, największa właśnie w 1937 r., to okres, gdy rewolucyjny nurt ruchu robotniczego pod przewodnictwem wyzwolonej już z błędów luksemburgizmu KPP po długim rozbiciu realizuje w praktyce w ramach Frontu Ludowego sojusz robotniczo - chłopski).

Zbadaćmy, w jaki sposób rzeczywistość ta załamała się w kartach powieści.

Najpierw parę słów o metodzie pisarskiej Goździkiewicza. Uderzyć nas musi, że w „Lipnickim świecie” nie jest podporządkowane jakiemś jednemu nurtowi akcji zdążającej w określonym kierunku. To nie jest powieść typu balzakowskiego, gdzie pisarz daje obraz społeczeństwa jakby mimowolnie, jako naturalny rezultat pokazania dziejów danego bohatera, którego losy tylko i wyłącznie zdaje się pisarz zajmować. W powieści Goździkiewicza zadziergnięte konflikty nie rozwiązują się lecz wymierają naturalną śmiercią, grzesną w czasie. Bohaterzy powieści poddają się losowi z rezygnacją, jaką przynosi przeświadczenie o beznadziejności walki. Akcja powieści nie odznacza się dynamicznością. Goździkiewiczowi nie chodzi o przedstawienie sprawy lecz tylko obrazu. Autor zabrał się do realizacji tego zamiaru twórczego fotografując poszczególne obiekty rzeczywistości wiejskiej, typy ludzi, ich czynności i ustawiając te obrazy wokół siebie jak w albumie. Niekiedy wiąże się one w określony wątek i wtedy otrzymujemy historię miłości Staska Gajka do Krysii Szymczakówny, nauczycielki Zofii Trzemeskiej do dziedzica, Obrzyńskiego lub nauczyciela Rosinka do nauczycielki Władysławy, albo wątek spółdzielni, którym dalej zajmie-

my się bliżej. Niekiedy jednak pozostają tylko piękną ilustracją wielopiękną albumu: takim obrazkiem upiększającym krajobraz geograficzny i społeczny Lipnicy jest np. rybak Spychała. Stąd obfitość wątków w powieści jest pozorna, nie wynika bowiem z bogactwa akcji lecz z jej słabości i drugoplanowości w zamierzeniach twórcy autora. Gotowi jesteśmy za wątek wziąć to, co jest zaledwie fotomontażem paru statycznych obrazów z życia wsi. Ujęcie takie dyktuje naturalizm zgodnie z metodą Zoli fotografowania rzeczywistości. Stąd ujęcie takie nosi w sobie i grzechy naturalizmu. Statyczność ujęcia, wąskość i zatręcenie dynamiczności wątku, brak właściwej selekcji materiału. Obok rysów ważkich i typowych dla Lipnicy, znajdujemy tam całą rypielarnię drobniagowych notatek, a nawet całe partie nie nie wnoszące do obrazu wsi, np. miłość Trzemeskiej do dziedzica.

W tym miejscu warto zwrócić uwagę na drugą charakterystyczną cechę konstrukcji powieści. Powieść Goździkiewicza jest obrazem wsi, gdzie jeden z elementów rzeczywistości wiejskiej — nauczyciele — rozrosł się nieproporcjonalnie do innych. Przerost wątków „nauczycielskich” wydaje się tym więcej nieuzasadniony, że ich wpływ na życie wsi, jakie pokazał autor jest znikomy. Ujęcie zresztą tych wątków nie wychodzi często spoza ram psychologii.

Tak wyglądałaby sprawa, gdybyśmy zgodnie z naszym założeniem chcieli w „Lipnickim świecie” widzieć wyłącznie obraz wsi. Na upartej jednak możnaby książkę Goździkiewicza uważać również za książkę o nauczycielach wiejskich. A może za jedno i to drugie. Ze względu na ciężar gatunkowy problematyki zajmujemy się bliżej obrazem wsi w książce Goździkiewicza, traktując sprawę nauczycielstwa raczej jako rozdział psychologicznym narodził na realistycznym organizmie powieści. Całe szczęście, talent Goździkiewicza sprawił, że nie jest to „nowotwór” zbyt... złośliwy.

3. LIPNICA — WIEŚ SPOKOJNA

Lipnica to wieś spokojna i „sielska”. Może za spokojna i za „sielska”. Po książkach „wiejskich” Kruczkowskiego, Kowalskiego czy Pogana, czytelnika przeniesionego w „Lipnicki świat” zdumiewa to polityczne ucieśnienie wsi Goździkiewicza. Jest to wieś bez działań politycznych, bez rozgrzewek partyjnych, nawet bez politycz-

nych dyskusji, jakby wokół nie toczyła się ostra walka polityczna, jakby nie wzmagał się nacisk sanacji. Jeśli natrafiamy na echa polityczne, są to echa dalekich wspomnień o fali ruchu chłopskiego nazajutrz po odzyskaniu niepodległości — przywoływane przez autora po to chyba, by podkreślić ich bezpowrotność, ich niemal legendarną odległość, by zaakcentować atmosferę beznadziejności i rezygnacji.

Oto co myśli na ten temat stary Gajek: „Wszędzie dwór i dwór — ziemie naokoło, łąki naokoło, lasy naokoło. Nie ruszysz się, żeby nie natrafiać na dworskie dobro.

A chłopci co? Siedzi każdy na tych kilku i kilkunastu morgach i ani żyje, ani nie umiera. Orzą, sieją, zbierają, przeczekiwują zimę, ale to i wszystko. Od dworu nie uciekniesz. Co to było kilkanaście lat temu krzyku: a sejmy, a wiece, a uchwały, a reformy! I co z tego wyszło? Co z tego jest? Wielkie gówno... Staremu Obrzyńskiemu groziło wywłaszczenie, a otrzy mał pozycję. Zreperował dom, zakupił konia i co roku bierze grubą gotówkę, kiedy remont pobiorą dla wojska. A oni co? A oni co?”

Byłoby przesadą powiedzieć, że rzecz dzieje się w politycznej próżni. Goździkiewicz pokazał wieś zbyt wyraźnie rozwarstwowioną klasowo. Z pełną świadomością charakterystycznie — przedstawicieli klas i w tej roli wprowadza do akcji bogacza wiejskiego Osetka, średniaków ciężących ku bogaczom — Szymczaków, małorolnych Gajków i Cieślaków. Jest także szeroko podmalowany proletariát wiejski — bezrolni, bogactwo marginesowych, lecz ostro zarysowanych postaci sług dworskich, parobków, wyróbnic. Z tradycyjnych postaci przedwojennej wsi znajdujemy nauczycieli, księdza i dziedzica. Autor bystro wywypukał sojusz trójkąta: dziedzic, zacofany pleban i bogacz wiejski — reakcyjny triumwirat. Cały wątek spółdzielni służy do przedstawienia układu i zmagania sił klasowych. Tu krzyżują się i ścierają prądy społeczne nurtujące wieś. Spółdzielnia jest platformą, na której stykają się niemal wszyscy bohaterowie powieści — platformą, która za zastaną solidarystycznych hasel staje się areną bezwzględnej walki klasowej. Ale te wszystkie rozgrywki klasowe są w ujęciu autora jakiegoś autonomiczne i naturalne, nie inspirowane przez żadną doktrynę polityczną, po prostu zaszarżają się tylko na „instynkcie klasowym”, na grubej kalkulacji,

— Ja odpowiadam! — krzyknął.

— A my to co? — odezwalo się kilka głosów.

— Tylko do podpisywania? — spytał ktoś głosiście.

Twarz administratora spurpurowiała. Powstał nie wiadomo po co, namyślił się jednek i usiadł. — Wy wiecie swoje, a ja swoje — przedkładał doje niewyraźne kompetencje.

— Nie klóćcie się — dobiegła słuszna uwaga z tyłu.

Napreżenie niby zostało rozładowane, ale już dalszy ciąg narady nie kleił się. W drugim punkcie tow. Parys zdawał sprawozdanie z akcji podnoszenia mleczności krów. Jest ich razem w Chyszowie dwadzieścia trzy. Niezgrany to zespół, niezgrany co do jakości i maści. Taka „Tarca” — rekordzistka, daje po wycieleniu ponad 30 litrów dziennie, dechodzi w stosunku rocznym do siedmiu tysięcy litrów. A i ta byłaby zjedzona, gdyby nie interwencja na rynku. W porę odkupiono ją z rąk rzeźnika, bo skórka miała delikatnusienską. Tak samo sprawa się miała z Ładną, Szwedką, z większością krów dzisiejszej obory.

I tu Parys rozgadał się nie bardzo na temat. Przedstawiając rodowod krów, sięgnął do trudnych początków Chyszowa po wojnie. Majątek był zdevastowany, zostały tylko piękne budynki, kulawy konie i dwa prosiaki. Administrator Langet „ewakuował” krowy do Niemiec.

— Nie było w co ręk włożyć — wspominał rzewnie Parys. Po parcalacji została resztówka 100 ha, ale coż ona warta bez warsztatu? Na pół wartości albo i mniej.

Rozkładał bezradnie ręce.

— Nie było w co ręk włożyć — wspominał rzewnie Parys. Po parcalacji została resztówka 100 ha, ale coż ona warta bez warsztatu? Na pół wartości albo i mniej.

Rozkładał bezradnie ręce.

— Nie było w co ręk

2-ga nagroda

ZALOGA PGR-u

— I dopiero nas Partia w kupe wzięła — głosił akordem. Stwierdzał wiaściwą, ludową dźwięgnię postępu w majątkach państwowych. Partia dała siłę ruchu naprzód. Partia, która każe zwyciężać nie dla idiotycznej chimery czy pańskiej fantazji, ale dla zaprowadzenia powszechnej sprawiedliwości. Poszedł Sosnowski ze swoją chromą nogą, poszli inni do Komitetu Powiatowego Partii w Tarnowie. Poszli zagrożeni natchnieniem jakichś wspaniałych czynów. Jedne wojska zdobywały Wrocław, drugie przygotowywały się do wypalenia legowiska gada hitlerowskiego, a oni cóż? O ich świat walczono bez nich? Przyszli do Komitetu i powiedzieli: chcemy walczyć o wielkie sprawy! Jak to, rewolucję robicie bez nas, bez proletariatu wiejskiego?

Cóż im na to powiedział sekretarz Komitetu Powiatowego?

— Rewolucja polega przecież na dotarciu zmian do najmniejszych komórek, rewolucja polega na zmienienu życia wszędzie, we wszystkim. Na miejscu zmieniajcie życie. Twórcze komórki PPR, niech ona będzie mózgiem nowego życia, niech zamienia majątek w Chyszowie w ośrodek kultury i postępu. Niech służy chłopom za przykład.

Wrócili, zaożyli komórki PPR z najlepszych robotników, gotowych służyć Partii, w każdej chwili, na każde zawołanie. Zaczęli od nieczego gospodarke w Chyszowie. Może i lepiej, bo początkiem, najcenniejszym wianem był zapal. Tak sklejona podkomórka trwalsza jest od pieńczi.

— Ja będę świnię chował — powiedział na zebraniu tow. Sosnowski.

Co ty się znasz na tym — próbo-

wano go po przyjacielsku wyśmiać.

— Ludzka rzecz nauczyć się — brzmiała uparta odpowiedź. Pewnie, że będą hodować inaczej, nie tak jak ojciec, co chował w czworakach pod wyrkiem i żywił ino zielskiem.

— Ja będę krowy chował — zgłosił się drugi Parys. — Byłem dotąd połowym, ale cóż to za połowy na 100 ha? A tu krów nie ma, trzeba oborę jak najprędzej skiecić, żeby ludzie mleka mieli i państwo korzystać.

Tak dobił się w dłuższym referowaniu tow. Parys do swego problemu. Jeździł z administratorem Zarowem po jarmarkach, spod noża wyrwali zaniedbane, ale rokujące wysokie korzyści krowy. A później krok dalej. Podnieśli mleczność przez racjonalne żywienie! I stąd realne zobowiązanie — 4500 litrów rocznie przeciętnie od krowy. Realne, bo pierwsze półrocze dało już 51 proc., mimo, że nawet połowa krów się nie wycieliła jeszcze.

To oświadczenie zostało przyjęte oklaskami.

— Zuch Parys!

— Lubi mleko, nie wódkę, to i stara się. Nie dziwota!

Tow. Parys skonił się i zeszedł z podium. W dalszym punkcie stała sprawa wzajemnych stosunków Rady Rolnej i administracji. Niedobrze się na tym odcinku dzieje z wyraźną szkodą dla Chyszowa. Niech nikogo nie wprowadza w ujęcie przedownictwo Chyszowa, ponad obecne wyniki i sukcesy można jeszcze bardziej wysokość. Zwyczajnie, szare robotnicze twarze zamieniły się. Zagadnienie przeszło przez małą salę rozmątnionymi ruchami głów i rąk; odbyło się wyraźnie, jak w falowaniu wody do której wrzucono kamień. Robotnicy współ-

odpowiadają za majątek i nie chcą być tej współodpowiedzialności tylko figurantami. Administratorowi na pewno pociemniało w szybko latających oczach do szybkiego bicia serca. Popatrzył w okno: ciemno. A tu sywały się, jak z długo zbieranego wora nagłe myśli, odważne domysły, wyrzuty, gorąco nacierały, ścięły się. Nie, nie może być dwóch dróg w jednym majątku, bo nie ma dwóch prawd. Jest prawda prostych, może nawet za prostactkich słów, nie bawiących się w dyplomację, jest prawda łaknących lepszego oczu i twarzy. Po drugiej stronie jest błąd. Opierał się jednak temu stwierdzeniu, stare nawyki górowały. Męcząco hamował wybuch.

Znow mówił tow. Sosnowski. Nachylał się z podium nad pierwszy rząd krzesel, gdzie siedziała administracja zespołu. Spod wypukłości czoła bił wzrok nieublagany.

— Na przykład premie... Pan dyrektor chce dawać swoim wybranym... A może tylko taki domysł? — rozłożył ręce. Ale ten domysł pan dyrektor sam pchał mi do gęby, bo nie pyta się w niczym Rady, omija ją, jakby to był wróg.

— Dowód, dowód! — krzyknął administrator.

— Dowód? Masz pan pierwszy dowód: za co pan dał traktorystę premię? Za to, że głównie w traktorze spalił? 15.000 trzeba było zapłacić za to. Czyje to pieniądze? Państwowe, nasze! Czy ktoś sprawdził winę traktorzysty? Nie! A trzeba było. Ale pan dyrektor nie chciał. Albo kto to widział kazać połowemu wsiąść na traktor i jeździć, kto to widział? Ze furą potrafi jeździć, to traktorem też? Zwracalem uwagę, to mi dyrektor odszczekał: nie wasza głowa, Sosnowski, ja odpo-

wiadam. A odpowiada? — zadał pytanie. Nie chce odpowiadać. Bo jak połowy na tym traktorze wjechał na rowerzystę i rozbił rower, to nie wyjął pan dyrektora z własnej kieszeni odszkodowania, ale otworzył kasę i dał z kasy... Z czyjej kasy? Z naszej kasy, towarzysze!

Administrator nie dawał za wygraną.

— Tom ja najgorszy, wy najlepszy? — spytał surowo.

— Nikt tego nie powiedział. Ja się już do win przyznałem, a pan nie chce — odpowiedział Sosnowski. Ale...

— Tu obywatel Parys mówił o krowach — znow wpadł w słowa Sosnowskiego administrator — czyżaj to zasługa?

— Między innymi wasza, panie dyrektorze. Wyśta umieli otaksować jakość — przyznał bez zażenowania Sosnowski.

— A to, że omlóciłmy przeszło 30 kwintali pszenicy z ha, to czyja zasługa?

— Wasza i nasza.

— A to, że w tamtym roku było buraków 850 kwintali z ha?

— Wasza i nasza zasługa.

— No?

— To znaczy — precyzował wniosek tow. Sosnowski — że przy zgodnej współpracy stać nas na bardzo dobre wyniki, gdzie jej nie ma, tej współpracy, to się wszystko rozłazi.

— Prawdę mówi — poparto Sosnowskiego.

— Świętą prawdę — większość zebranych podchwyciła.

Administrator stracił głowę. Wisiało nad nim nieublagane, wąskie czoło Sosnowskiego.

Nie był do końca zebrania tow. Sosnowski, gdyż jak wiatr wpadła na salę jego żona w ciężkich buciorach i głośno wydyszała.

— Józek, „Dina“ zaczyna się!

Sosnowski poderwał się i objaśnił:

— Ostatni miot w tym roku. Zobaczmy ile da... — mówił z pewnym niepokojem. Ale da, dużo da — znow się publicznie uspakajał. Gdy była pierwiastka, to dała już dziewięć, teraz stać ją na dwanaście.

Każde prosię było drogie, zbliżało do wyznaczonej ponadnormy. Nadzieję podtrzymało kilkoro głosów, „Dina“ niespokojnie rozrzuciła słomę wokół siebie. Sosnowski miarkował, że widocznie prosiaki zrosły na schwał w brzuchu maciory. Pierwszego schwyił w rękę (zanim wrzucił do kosza, wycielonego miękko i ciepło siano) i ważył.

— Ponad kilo — obwieścił.

— Nie dziw — odparła Sosnowska — knur jak ogier. Knur to waż-



Tow. Józef Sosnowski przodownik pracy na P.G.R. w Chyszowie
 Fot. K. Jarochowski



Krowy P.G.R. Chyszów
 Fot. K. Jarochowski

na rzecz, musi mieć dobre rozwinięte mięśnie. A nasz właśnie taki... A jakby się go trzymało w ciasnym chlewiku, to nie z jego siły. I nie trza go ćkać ino ziemniakami, trza dawać owies i jęczmień.

Sosnowski pokręcił głową.

— Skądże ty już tyle nauki nabrałaś?

— A od ciebie — zaśmiała się przypoehlebie.

Sosnowski wygładził z zadowoleniem wąsy, burknął jednak.

— Ty głupia schlebiaczko, przynieś szczypekki, trza tym małym ułamać koniuszki kiełków, bo pohamrają starej wymię. Aha, i półkę zrób dla niej z otrąb.

Nie tylko żona chwaliła Sosnowskiego za inżynierstwo w hodowli macior i wychowie prosiąt. Sława PGR Chyszów, sława jak promienie z ogniska kultury rolnej rozbiegające się po okolicznych wioskach, jest sławą po części tow. Sosnowskiego. Przy kłopotach hodowlanych jego wywołują po poradę. W opisywanym dniu, a właściwie po opisywanej nocy, po przyjęciu dwunastu prosiąt od „Diny“ został Sosnowski zaproszony do obory Miszczyka, średniorolnego chłopa w tejże wiosce. Powiadomiony poszedł chętnie poradzić. W drodze do chlewika Miszczyk objaśnił, że jego maciora jedno zagnioła, drugie potarsiła, że ino, ino ziple.

W ciasnym, mokrym chlewiku stała wychudzona maciora, podniesionymi pyszczkami tarmosiły ją za dójki male zapleciałki.

— Hm, tu jest ciemno — dociekał przyczyn zagniecenia Sosnowski. — Trza, żeby się w pierwszych dwóch tygodniach świeciło. Wtedy maciora widzi swoje male. A później to one są silniejsze, zwinniejsze, zawsze uciekna, gdy się maciora kładzie. Ile one mają?

— Dwa tygodnie.

— Ja też mam takie po „Wybornej“. Będę dokarmiał... Chcicie mieć, Miszczyk, dobre prosiata na chów i sprzedaż, także dokarmiacie. Ja już od jutra będę robił tak: do korytka wleję dla wszystkich trochę mleka i do tego dwie trzecie wody, ciepłej wody. I jeszcze kilka rozgotowanych ziemniaków i garść palonego jęczmienia lub owsa. Po czterech tygodniach chowu już na każde będą obliczał po 25 deka śrutę jęczmiennej albo kukurydzianej, 1/2 kilo ziemniaków gotowanych i 1/2 litra mleka. Jeszcze tydzień po tym i znow o połowę zwiększę dawki. Aha, i dawać trochę węgla. Nie będą ryć.

Odśledź z przekonaniem spełnionego obowiązku. Czekala na niego w Perzezer nowa robota. Radosna i zarzem smutna. Radosna, bo oddawał do tuczarni w Tuchowie jedenaście prosiąt dwumiesięcznych, a więc powiększał perspektywę produkcji mięsa (oddaj już ok. 150 procent); smutna, bo z każdym świnięskim stworzonkiem Sosnowski zżywał się, jak z człowiekiem, boleśnie przeżywał rozstanie. Nie też dziwne, że często zdarzały się ostre scysje z odbiorcami o byle co. Na przykład w ten dzień... Przyniósł pierwszego wychowanaka na wagę. Wyglądał różowo i wesoło, jak to się ogląda na wystawach wielkanocnych w marsarniach. Odbiorca z Tuchowa, zaspany młodzik szybko śliznął ręką po tarze.

— Dwadzieścia kilo — oznajmił. Sosnowski przsunął się przed i podejrziwio spojrz na wahadlo. Delikatnie przsunął tarę.

— I trzydzieści deka — poprawił z oburzeniem.

— Śmieszna poprawka — zauważył młokis i wydał pogardliwie warugi.

— Dla pana śmieszna, dla mnie nie. Te trzydzieści deka ma swoje znaczenie, trza się było bić o nie. Towarzysze jestem — dodał dumnie.

Dumnie nosił, że czią starego rewolucjonisty swój tytuł przynależności do Partii. Ona każe członkom swoim przemieniać Chyszów we wzorowe, socjalistyczne gospodarstwo, świecące przykładem wyższości pracy zespołowej nad indywidualną. Partia każe iść wbrew chwilo-

wym oporem z pochodnią oświaty na wieś. Dlatego też, gdy na zebraniu Podstawowej Organizacji Partyniej Stach Porosły referując sprawę wykładów dla ZSCH w Chyszowie, wykładów rolniczo - oświatowych, prowadzonych przez towarzyszy z PGR-u, celem podniesienia towarowości i dochodowości gospodarzek chłopskich z zakłopotaniem dodał, że nie widzi jakos możliwości przeciwdziałania kontrapropagandzie księdza i zakonnice, Sosnowski zaśmiał się na całe gardło.

— Trzeba umieć usadzić księdza, żeby se usiadł spokojnie i pilnował oltarza. Jak?

Zmrużył oczy i przypomniał swoją rozmowę z księdzem kanonikiem Marcinkiem Florkiem. Ksiądz pytał Sosnowskiego, czy to prawda, że przedtem pracował w karwińskim węglu. Tak, prawda — odpowiedział Sosnowski. Ksiądz poczęstował parafianina dobrym papierosem i konfidencjonalnie rzucił szkic układu.

— Po co wam, Józefie, gębę se strzebić z chłopami... Niby to bezpartyjna ta Samopomoc Chłopska, ale po takich wykładach zmienia się wszystko... (Ksiądz rozsiadł się nie za żarty). Postrzępione szare ubranie to tylko na pokaz, a pod nimi już czerwone gacie. Pfu, to nie chrześcijanie, to narybek na komunistów.

Ksiądz kanonik strzykał pianą przez złote zęby. Znow gwałtownie. Po co ich uczyć? Cóż to gęba — rzemień? Po co gadacie, że węgiew jest starszy, niż księża ucza o starości świata? A młodym tylko w te nowinki graj! Zlatują się do was i wypytują, czy wobec tego mógłby być węgiew bez świata. I tak dalej... Że nie prawda, że święta Kinga przyniosła pierścien do Wieliczki, ale że sól powstała... że sól przyniosły fale morskie. Po co te mądrości chłopom? Czy wam kto za to płaci? A ja mógłbym wam z meterek pszeniczki — lakomii liśo.

Sosnowski wdrygnął się. — Nie, nie! To służba towarzyszy — uczył! Czysiętki paluszek dotknął krawata Sosnowskiego.

— Czerwo-ny... — powiedział z przekąsem.

— Co, nietądny kolor? — zdziwił się Sosnowski. — A Chrystus to w jaką plachtę był odziany, gdy szedł na Golgotę.

— No, no... — protestował ksiądz przeciw porównaniu. — Chrystus przelewał krew.

— A lud to wodę?

Ksiądz złapał się za głowę. Mgielka strachu obsiadła oczy.

— O, gdybym miał takich więcej w parafii — trząsił się — to by mi się parafia w miesiąc rozleciała.

— Dlaczego rozleciała? — dziwił się znow Sosnowski. — Najwyżej ksiądz nie mógłby bałamucić. Partia nie walczy z religią, walczy i walczyć będzie tylko z niektórymi księżami — politykierami.

Opowiedział zajęcie z księdzem kanonikiem w Olszynie po to, by uczyć odkrywać jego podjazdy. Oborowy Parys, który czasem się chwiał na widok saturny, uzmysłowiwszy sobie metody wrogów, poczuł obrzydzenie. Zazwyczaj takie uczucie kończyło się u niego wybuchem wściekłości. Chuda twarz biła w okno rozpalonymi oczami.

— A co, pomagał nam kto zrobić to?!

— Za oknem w okólniku brykała stadnina klaczy, złożona z 60 sztuk. Łaciate krowy, wracając od studni, obwachiwały końskie pyski przez drewniane żerdzie. Ocieżałym krokiem wracali do obory. Parys krzyczał dalej.

— I właśnie my poprosimy naszego połowego, żeby wykładał chłopom o płodozmianach według Williama. Grodowski beżpartyjny, ale też mu zależy, żeby było dobrze i jasno.

— Ambitna załoga — mruknął z uznaniem reportażysta.

Tow. Sosnowski położył na pierśsiach rękę szeroką, jak pajda chleba.

— Wszystko serce...

WŁADYSŁAW MACHEJEK

SOCJALISTYCZNY?

nie wypływają z żadnego politycznego uswiadomienia. To chyba instynkt klasowy i kalkulacja każe bogaczowi Osetkowi niechętnie ustosunkować się do spółdzielni i słuchać proboszcza nie tylko z tradycyjnego nawyku, ale i z wyczuwanej wspólnoty interesów. Nie widać połączenia lipnickich rozgrywek z całokształtem walki klasowej w kraju, nie widać nici, którymi „mała“ reakcja lipnicka wiązałaby się z „dużą“ reakcją z salonów warszawskich. Nie natrafia się w powieści na żaden określony ślad reżimu.

W pewnym miejscu powieści dowiadujemy się, że „oficjalne czynniki“ wpłynęły na zlikwidowanie kółka młodzieży. Szkoła jednak, że autor nie nazwał tych czynników po imieniu, nie pokazał, jak działa mechanizm tych „wpływów“. Może przydałby się choć cieni tzw. organów państwowej władzy i — ucisku, policjanta granatowego i sekwestrata, może choć echo współczesnych ruchów chłopskich — „posiewu przyszłości“. A tak powieść pozostanie niepełna jak niepełnym będzie obraz wsi ograniczony do jej wewnętrznych, „fizjologicznych“ spraw, wsi wyizolowanej, wyciętej z mapy kraju. Właśnie, żeby dać pełny obraz danej wsi, trzeba z niej koniecznie wyjść, uocmowac ją w sieci ruchów i zmagani ogólnokrajowych, pokazać koła napędowe dławiącej wieś maszynierii wyzysku.

Jedynym postępowym bohaterem powieści jest Stasiek Gajek. Postępowym ale nie pozytywnym. Dlaczego pionierem postępu na wsi i nowatorem czyni autor byłego nożownika, młodzieńca o łobuzerskiej przeszłości? Wytumaczenie może być tylko jedno. W ten sposób łatwiej będzie uzasadnić autorowi niepowodzenie Staska, niechęć wsi i brak szacunku dla niego. A może wymagał tego naturalistyczny koloryt powieści? Niechęć pisarska do pozytywnego bohatera — spadek po dwudziestoleciu, kiedy pozytywny bohater wydawał się nierealny, kiedy, jak to wznął podobno jeden z czołowych pisarzy tego okresu, czasami autor naumyślnie zohydzał rzeczywistość, by uczynić ją bardziej prawdopodobną — w książce.

Lecz czy są to chytywe dozwolone?

Zasługa Goździkiewicza jest niewątpliwie, że przewycięził sięgający jeszcze Zeromskiego schemat społecznych intelligenckich działających wśród ludu. U Goździkie-

wicza inteligencja — nauczyciele, to ludzie pozbawieni zupełnie ambicji apostołskich. Nowatorem staje się natomiast chłopak wiejski — Stasiek. Niestety, musimy mieć pretensje do autora, że tak mizernie wyposażył w ładunek ideologiczny swojego bohatera, że Stasiek jest jakiś politycznie niedoświadczony. A przecież miał reprezentować to, co we wsi było najlepszym. Jego niejasna niechęć do dworu i plebanii to niewiele. Nie wiemy nawet, w jakim stopniu założenie kółka młodzieżowego i spółdzielni było wynikiem zwykłego naśladownictwa i ambicji, a w jakim dojrzałości światopoglądowej.

Dwa tylko wydarzenia o charakterze postępowym zamieścił na pewien czas „sielanek“ Lipnicy.

Pierwsze z nich to zorganizowanie przez Staska kółka młodzieży wiejskiej. Kółko miało żywot niedługi. Zostało zlikwidowane przez frontalny atak reakcji. „Miejscowe czynniki“ skłoniły księdza a ksiądz nauczyciela do podjęcia ostrej kampanii przeciwko nowatorom. Kampania przyniosła zwycięstwo. „Na wiosnę następnego roku — czytamy — ksiądz Maliszewski dobił atak przez indywidualne spowiedzi ostatnich kółkowiczów“. Nie wywnął się wtedy od spowiedzi i główny winowajca — Gajek.

Drugim postępowym wydarzeniem w życiu wsi było założenie spółdzielni. Tym razem sprawa stała się zbyt poważna i popularna na wsi, by można ją było zaatakować od frontu. „Konserwa“ lipnicka zmieniła taktykę. Nie mogąc zniszczyć spółdzielni, tak jak zniszczyła koło młodzieży, opanowała ją od wewnątrz. W tym celu ksiądz Maliszewski mobilizuje do pracy „społecznej“ bogacza wiejskiego Osetka. „Wy jako mąż katolicki, do którego mam pełne zaufanie musicie się więcej w wsi udzielać. Myślałem nad tym ostatnimi czasami i doszedłem do przekonania, że trzeba wam zapisać się do spółdzielni. Tam musi być pewnych ludzi jak najwięcej. Może trzeba będzie zmienić prezesa, może co innego, więc powinienem być o zwolewiek nasz: poważny, solidny, bogobojny, katolicki...“.

W wyniku wyborów do zarządu wehdzą dziedzic jako prezes i bogacz wiejski Osetek. Oto co się stało z ideą spółdzielczości w Lipnicy. Została zasymlowana i wchłonięta przez wroga klasowego. Niebezpieczeństwo ruchu oddolnego zostało zażegnane. Tak neutralizowana i rozładowana z potencjału

klasowego spółdzielnia nie jest oczywiście zdolna w najmniejszym stopniu zmienić życie wsi. „Czytamy — każdy dzień powszedni oskubywał ją z piórek nadzwyczajności, wrosła w wieś coraz bardziej swojska, pospolita, sąsiedzka, traciła nimb tej grozy, jaką koło niej starali się stworzyć jej przeciwnicy“. Otóż to! Zamiast stać się krokiem na drodze usamodzielnienia materialnego ubogich chłopów, spółdzielnia przerodziła się w jeszcze jedną „swojską“ instytucję, przez którą reakcja umacniała swe wpływy i panowanie. Tyle zapisać należy na konto reakcji. W jakim stopniu akławość ówczesnej spółdzielczości sama prowokowała taki obrót sprawy to rzecz inna.

4. KAPITULANCI

Nad powieścią Goździkiewicza unoszą się opary beznadziejności i pesymizmu. Lecz jest to pesymizm szczególnego rodzaju. Powiedziałbym, pesymizm odramatyzowany przez stoicyzm autora, przez przekonanie, że tak być musi, że nie ma rady na zło, jakby kapitalistyczny porządek, był porządkiem „naturalnym“, a podział klasowy niewzruszalnym. W przedstawionym przez siebie obrazie nie widział Goździkiewicz możliwości ani sposobów korektur.

Wszelki realizm na miarę mieszczańska, a takim jest mimo wszystko ten realizm, jaki reprezentuje w „Lipnickim Świecie“ Goździkiewicz, osiąga jako „premie“ za „wierną“ podobiznę świata najwyższej wyraz rezygnacji — jedyne co dla świata przeznaczonego na zgubę jest osiągalne.

Epoka, w której umieścił Goździkiewicz akcję swej powieści jest też postawy zarówno usprawiedliwieniem jak oskarżeniem. Usprawiedliwieniem, ponieważ sytuacja mało i średniorolnych chłopów w 1937 roku była gorsza, niż tych z „Grzmiącej“ w 1918. Nie tylko ekonomicznie. W 1918 roku żyły nadzieje na reformy. Wtedy wydawało się mieć realne podstawy złudzenie, że odradzające się państwo rozwiąże kwestię chłopów w duchu demokracji. W 1937 roku tych złudzeń już nikt nie miał. Ten więc, kto nie widział lub nie chciał widzieć rosnących sił rewolucyjnych i przepełniający się rezerwu buntu*), kto nie chciał

spodziewać się rozwiązania na tej drodze, popadał w pesymizm i rezygnację. O tyle sytuacja ówczesna staje się oskarżeniem postawy autora.

Na tej płaszczyźnie należy wyjaśnić konstrukcję losu Staska Gajka. Tu doszukać się trzeba jego kapitulancja. Odsunięcie go od spółdzielni a więc uniemożliwienie mu wybitcia się społecznego i oddziaływania na wieś nawet przez tę organizację, która miała się stać wyciśnięciem w barierze klasowej — to jedna przegrana Gajka, a w jego osobie całej roboty postępowej na wsi.

Wkrótce odpadnie i druga szansa — awansu społecznego poprzez małżeństwo z Kryją Szymczaków na, córką 22 morgowego gospodarza. Z powodu różnic majątkowych. Autor pokazuje, jak wględy klasowe przemagają względy obyczajowe i moralne.

Potem Gajek spróbuje jeszcze jednego rozwiązania. Wyjeżdża do Łodzi, rozgląda się za pracą. Oczywiście bezskutecznie. W Łodzi panuje przecież bezrobocie. I oto kłątka klasowa domyka się.

W powieści nie tylko jeden Gajek jest kapitulancem. Miał podobnie kapitulancja u stóp obszarnika. Czy mógł autor wyraźniej podkreślić beznadziejność tej walki? Pesymizm powieści przejawia się zresztą również w podmalowanych psychologią watkach nauczycielskich. Nie ma tu postaci naprawdę pozytywnej. Nauczyciele nie wnoszą nic postępowego w życie wsi. Przeciwnie obserwujemy ich ściśle związane z reakcją wiejską i ciężenie do dworu. Zaniedbał autor nawet tradycyjnego przedstawienia antagonizmu: ksiądz — nauczyciel, tej walki autorytetu świeckiego i duchownego o rząd dusz; zaniedbał nawet wątku nauczycielskiego typu „Orki na ugorze“ Wiktora. Nauczyciele w Lipnicy nie walczą bowiem o dusze dzieci. Nie nadają się do tego. Są zbyt lojalni i potulni, zajmują ich wyłącznie osobiste swary. Wprawdzie są członkami spółdzielni i biorą udział w jej pracach — tak czyni zresztą również i ksiądz i dziedzic — ale nie wysuwają się naprzód. Poza tym spółdzielnia to platforma towarzyskich spotkań,

*) Patrz: Z. Wasilewski: „Powieść o rozłamie ruchu ludowego“. Wiek Nr 49, 1949 r.

(Dokończenie na str. 6-ej)



REALIZM

ALE CZY SOCJALISTYCZNY?

(dokończenie ze str. 5)

Jedną z nielicznych rozrywek na wsi.

Odrębnie potraktował autor kierownika szkoły Krawczyka, śmiesznie niedołągę, wychowanego niedołągę do bezklasowej pożywce ułańskiego patriotyzmu, dziś gruntnie wypranego przez życie z wszelkich ideałów i złudzeń. Jedyną jego namiętnością jest hodowla gołębi. Dramat rodzinny (porzucaszona żona, by zostać dziedzicową utrzymanką) zmusza Krawczyka do zanalizowania własnej przeszłości. Stary ramol stwierdza, że jest życiowym bankrutem. Nie wykonał ani nie utrwał polskości wśród ludu, przeciwnie, był uległym narzędnikiem carskim w dziele rusyfikacji. Nawet jednak w chwili rachunku sumienia i samokrytyki nie potrafi Krawczyk zrozumieć, że najcięższego przestępstwa przeciw słobowianu dopuścił się stonkunkowo niedawno — gdy zdradził Gajka i zniszczył jego koło młodzieży. Nie był w stanie uprzytomnić sobie, że budzić i utrwać polskości, to w warunkach lipnickich budzić i utrwać ruch ludowy, ruch tych, którzy jutro stanowią błądź Polskę. Ale to były dla niego skrajności zbyt dalekie. Dla Krawczyka „budzić w chłopach polskości to mówić im o dawnych rycerzach, bohaterach i hetmanach, a tu koło młodzieży w Lipnicy i Gajki”. Krawczyk jest wyraźnym przedstawicielem całej inteligencji z ludu, lecz straconej dla ludu, inteligencji zarazonej obokklasową ideologią, dla której polskości to szlachectwo — tak przecież uczyli Krawczyka książki, a z nich — cała jego wiedza. Ostatnie zagadnienie swego życia rozwiąże przeto również na sposób książkowy i, powiedzmy wyraźnie, na jaki go jedynie stać. Dla zmaniania win przeszłości weźmie na wychowanie zdolnego chłopca, syna wyróbnika wiejskiego, Jasia Spychała.

Innego rodzaju dramat przeżywa młoda nauczycielka Zofia Trzemeska. Wychowana przez zakonnice w świecie fałszu i idealistycznych mitów, nie zna i nie rozumie życia, cierpi w zetknięciu z surową rzeczywistością wiejską. Gdy w dodatku jej melodramatyczna miłość do obszarnika Obrzyńskiego zakończy się nieszczęśliwie, Trzemeska załamie się i porzuci Lipnicę.

Jedyna „para młodych”, dla której autor przygotował „happy end”, to nauczyciel Rosinek i pani Władysława. Nie daje nam jednak autor gwarancji, że nie czeka ich w przyszłości los Krawczyków.

5. BILANS FOTOGRAFA

Goździkiewicz przeszedł niemałą ewolucję artystyczną od czasu pierwszej swojej powieści „Głosy z daleka” wydanej w 1938 r. W „Lipnickim świecie” porusza się już jak realista o dużym talencie epickim. Szkoda, że jest to realizm na miarę mieszczańską. Goździkiewicz nie dostrzega dialektycznego rozwoju rzeczywistości. Rozpatruje ją w sposób niemal statyczny. On tylko notuje, co w danym momencie rzuca mu się w oczy, co w danej chwili dominuje. Lecz dróg rozwojowych nie potrafi już wskazać. Stąd wrażenie załamania fali rewolucyjnej, uciśnienia politycznego, skostnienia życia społecznego wsi. Stąd zapewne niezamierzone przez autora wrażenie o bezcelowości wysiłków, o niewzruszalności starych praw i układu klasowego. A przecież, jak zaznaczyliśmy,

ZOFIA RZEPLIŃSKA

NIEMIECKA ULICA

Państwowy Instytut Wydawniczy opublikował niedawno powieść antyfaszystowskiego pisarza niemieckiego p.t. „Nasza ulica”. Książka ta zaprowała polskiego czytelnika pod tytułem wyjaśniającym, że jest to „kronika pisana w sercu faszystowskich Niemiec w latach 1933—34” — ale nie tylko dlatego: specjalne zainteresowanie wzbudziła osoba autora, kojarząca się z pewnym bardzo charakterystycznym wydarzeniem, jakie niedawno miało miejsce w Niemczech.

Wydarzenie to opisane w jednej z korespondencji znawcy spraw niemieckich, Edmunda Osmańczyka, dotyczyło w sensie zasadniczym nie Jana Petersena, a innego pisarza niemieckiego, Ilberga, skazanego w październiku przez wojskowy sąd brytyjski za „rozpoznanie nielegalnej literatury” na karę 2 tysięcy marek grzywny lub cztery miesiące więzienia. Rola Jana Petersena w tej sprawie polegała na zorganizowaniu u przedstawicieli rządu Niemieckiej Republiki Demokratycznej konferencji prasowej z udziałem korespondentów zagranicznych. Konferencja miała na celu zjednanie opinii prasy światowej dla sprawy Ilberga. Jak mianowicie przedstawiała się sytuacja? Cytujemy za Osmańczykiem: „Werner Ilberg ma dziś lat 55. Jest człowiekiem ciężko chorym i żyje, jak olbrzymia większość pisarzy w Niemczech Zach., w ubóstwie, z dorywczych zarobków, które dla pisarza lewicującego (Ilberg należał przez całe życie do lewego skrzydła SPD) nie nadarzały się zbyt często. Do tego Ilberg jest zdem, co w Niemczech Zach. też nie ułatwia życia. O zapłaceniu 2 tysięcy marek nie ma mowy, bo jest to suma odpowiadająca rocznym zarobkom przeciętnego człowieka pracy w republice Adenauera. Pozostaje zatem Ilbergowi tylko więzienie, a to oznacza dla schorowanego człowieka katastrofę”.

Na czym zaś polegało „przestępstwo” Ilberga? Rozpowszechniał zakazaną literaturę, tzn. rozsyłał znajomym autorskie egzemplarze własnej, nagrodzonej w swoim czasie w Szwajcarii powieści o Niemczech przedhitlerowskich. O „przestępstwie” tej książki nie decydowała zresztą jej zawartość, lecz fakt, że została wydana w radzieckim sektorze Berlina. Wiadomo zaś powszechnie, że od dwu lat blisko kolportowanie w strefie brytyjskiej, jakkolwiek książek, publikowanych w strefie radzieckiej, karane jest więzieniem. Niebiedna jest przy tym informacja dodatkowa, że pisarze-spakobiercy hitlerizmu nie krepowani są żadną ustawą.

Casus Werner Ilberg zapowiadał się więc wyraźnie tragicznie. Stąd właśnie energiczna akcja ze strony Petersena, który występując w obronie Ilberga nie kierował się zresztą względami wyłącznie natury uczuciowej, czy humanitarnym aspektem sprawy. Węży przyjaźni między tymi ludźmi zawiązały się w sieci spraw, których ogniem łączącym jest bardziej jeszcze ideologia niż sentyment. Werner Ilberg wraz z Petersenem od pierwszej chwili objęcia władzy przez Hitlera pozostawał w niemieckim podziemnym ruchu oporu. Obok wielu innych akcji organizowali wspólnie wydawanie nielegalnego pisma literackiego p.t. „Stich und Hieb”.

W roku 1934 Ilberg został aresztowany i po paromiesięcznych badaniach przewieziony do obozu koncentracyjnego. Między innymi, również Jan Petersen zawiadzczał swe życie milczeniem Ilberga podczas karni. Na konferencji, o której mowa poniżej, wyjaśniał zgrozonym korespondentom zagranicznym, że Ilberg nie zasłużył — mimo „wszystko” — na represje i apelował do prasy światowej, aby poparta prośbę do Wysokiego Komisarza brytyjskiego, gen. Robertsona, o kasację wyroku. Swoją list, skierowany bezpośrednio do generała, zakończył słowami: „Musiałem to napisać, generale, wstydziałbym się bowiem sam siebie, gdybym milczał”.

Ten sam tekst mógłby być umieszczony w posłowie do „Naszej ulicy”. Interwencja Petersena o kasację wyroku na Ilberga jest bowiem niejako przedłużeniem kroniki walki z wzbierającą falą faszystów w pierwszych latach panowania Hitlera w Niemczech. Zapiski Petersena nie były rzeczą prostą. „Moje pisanie — czytamy na stronie 198 — natrafiło na nowe trudności. Rękopis tak się rozrósł, że nie mogłem chować go bezpiecznie w dawnej skrytce. Wobec tego powierzyłem go jednemu z sympatyków. Po dwóch tygodniach oddał mi go, ponieważ także nie czułem się już bezpiecznie. Zaniostem go więc do innego, który uchodził za „dobrze sytuowanego mieszczańca”. Ale i ten oddał mi wkrótce rękopis, tłumacząc, że jego portier dziwnie mu się przypatruje, wie bowiem, że dawniej czytywał lewicową prasę. Dlatego lepiej będzie dla nas obu, jeżeli wezmę paczkę z powrotem.”

W tym stanie rzeczy każdy wtajemniczony mógł mnie kiedyś w jakiś sposób narazić. Może myśleli, że naprowadzę im na kark Gestapo, przynosząc od czasu do czasu nowe zapisane stronice? Tak czy inaczej nie wierzę ich uspra-

wiedliwieniom. Zlekli się po prostu. Tej nocy muszę mieć rękopis u siebie w pokoju. Nazajutrz z rana trzeba go jednak koniecznie sprzątnąć. Nie może leżeć w naszej niebezpiecznej dzielnicy. Jakież to wszystko męczące!”

Z tego rodzaju perypetiami spotykamy się nieraz jeszcze na kartach książki. Autor „Naszej ulicy” ciężkim wysiłkiem nęrowo okupował zwyż rejestrowania bieżących wydarzeń. Pisał jednak prawdopodobnie pod wpływem tych samych impulsów, jakie kierowały nim przy organizowaniu interwencji w sprawie Ilberga. Wnioskuje z przebiegającej w książce postawy społecznej, należy sądzić, że Petersen „wstydyłby się przemilczać sprawy, o których cały świat powinien się dowiedzieć.”

Owoce tego stanowiska jest jeszcze jedno świadectwo rzeczywistości historycznej, jeszcze jeden przyczynek do przyszłego badania wydarzeń, nauczania następnych pokoleń, wyciągania wniosków — jeszcze jedna oświadczenia dla przeciwczytania błądów. „Nasza Ulica” obejmuje wąski krąg działa-

mokratyczny przenika wszędzie, ale też wszędzie napotyka na ciężkie opory. Imperializm anglo-amerykański faworyzuje hitlerowców, jako wykonawców swych planów kolonizowania i militarystyki Niemiec Zach. i prześladowuje demokratów jako tych, którzy przeciwstawiają się tej akcji. Stąd namiętna interwencja Petersena w sprawie Ilberga, stąd pasja w informowaniu opinii świata o stosunkach w Trizonii. Jest to dalszy ciąg tej samej pasji, z jaką informował świat o stosunkach na „Naszej ulicy”. Bo tamte sprawy jeszcze się nie skończyły — wymowa tej książki ma wielowarstwową płaszczyznę odbicia. Kiedy była pisana szło o sporządzenie świadectwa w a prawdy o oporze komunistów niemieckich wobec wzbierającej nawałnicy hitlerizmu! Kiedy po wojnie ukazała się we wschodnich Niemczech stała się radosnym sprawdzianem przenikania hasel demokratycznych w życie kulturalne społeczeństwa, przedmiotem twórczych zestawień i konfrontacji. Dała asumpt do kapitalnych wniosków natury socjo-

winiści w gruncie rzeczy, karmiąc się ponętą złudą czulego a przykładnego współzycia z reżimem hitlerowskim, uparcie odmawiali współpracy. Ostatnia próba Centralnego Komitetu KPD: zorganizowania generalnego strajku została odrzucona jako „provokacja” (!) Oczywiście, gdy później Gestapo skierowało ataki w ich stronę również, skłonni byłiby może zmienić orientację. Ale wówczas było za późno.

Mocne i pełne wyrazu są te sceny w książce Petersena, kiedy młodzi działacze komunistyczni nauwają do strajku powszechnego otepiałe, przytłoczone nędzą drobnomieszczańskie masy niemieckie. Forma zbeletryzowanego reportażu pozwala narratorowi na swobodne operowanie kamerą obserwacji. Ruchliwa, spozstrzegawcza oko służy jako świadomy sprawy i świadomy tendencji przewodnik w pogmatwanym chaosie zdarzeń, pełnym wciąż innych wypadków i postaci. Migawkowy system rozwijania wątku tematycznego wzbogaca pole widzenia czytelnika, umożliwiając wnikiwanie w wielorakie dziedziny i zakamarki życia w Niemczech, pomiędzy młotem upodlenia i kowadłem represji. Inne drogi nie było i zarówno świat katów t. j. tych, którzy poszli na służbę hitleryzmu, bądź to ze względów „ideowych”, bądź zwyczajnie utylizacyjnych — jak tych, których widmo najstraszliwszych karni nie mogło załamać w oporze, przedstawiony jest w „Naszej ulicy” wyraziście, przy rzadkim w podobnych sytuacjach indywidualizowaniu postaci. W książce nie ma szabloności ani uproszczeń, tak łatwo nasuwających się pod pióro przy odmalowywaniu klasycznych schematów fabularnych (prześladowcy — uciskani itp.) Petersen zachowuje całe bogactwo odcieni przy charakterystyce uczestników swej kroniki. Wielu jest pozytywnych bohaterów, każdy z nich jednak — choć na tej samej drodze — inaczej dorabia się uznania, podziwu, nierzadko zachwytu ze strony czytelnika — nie drapując się przecież nigdy w togę męczeństwa, nie stwarzając glorii wkoło siebie.

Umierali prosto i zwyczajnie, przekazując wedle słów Wilhelma Piecka — żyjącym swe siły, wiarę i energię dla kontynuowania ich dzieła. Nie ma białych ani czarnych plam bez oblicza na tle pejzażu „naszej ulicy”. Każdy dźwiga swój rodowod socjalny i swoją sytuację wpływającą na zróżnicowanie jego mentalności i obyczajów. Kapitalne są zwieście szkie Petersena, gdy jednego z „mętniaków” nie można wciągnąć dla jego „małej”, kiedy inny wstępuje do SS, bo nie może znieść jako bezrobotny bezużytecznego pętania się po mieszkaniu i łaskawego chleba rodziców, kiedy trzeci wstępuje do SA, bo lęka się stracić pracę, a jeszcze inny filozofuje bardzo przekonująco: „Jakoś przecież trzeba żyć! Tam przynajmniej traktują jak człowieka”.

Mechanizm aparatu hitlerowskiego spłaszczania i upokarzania ludzi, przez ucisk ekonomiczny, odbierania im inicjatywy i zdolności myślenia pokazany jest pierwszorzędnie w powtarzających się parokrotnie scenach zbiorowych na tle tłumów bezrobotnych, wyczekujących nędznego zasiłku, na tle stłoczonych gromad przed sieniami domów i sklepikami, ustykiujących na głodowe płace itp.

Petersen po mistrzowsku różnicuje i ożywia zbiorowiska drobnomieszczańskie i lumpenproletariackie, brak jednak w powieści obok działaczy robotniczych, masy robotniczej, podobnie świadomie myślącej i działającej. Robotników w masie widzimy raczej tylko od strony emocjonalnej. Jesteśmy świadkami namiętnych wybuchów oburzenia i rozpaczki podczas po-grzebu towarzyszy itp. Są to jednak wybuchy spontaniczne, nie świadczące o planowym programie przeciwstawiania się złemu. Błądem autora jest, że nie uwypuklił należyte reakcji ze strony zbiorowiska robotniczego na wieść o aresztowaniu znakomitego przywódcy KPD Ernesta Thaelmanna lub przebiegu procesu Dymitrowa. Te wydarzenia oglądamy tylko poprzez pryzmat przeżyć jednostek, co wyraźnie obciąża reportażowy charakter powieści. Reportaż jednak powinien chwycić bezbiednie proporcje zjawisk, co nie zawsze opapanowane jest w dostatecznym stopniu przez Petersena.

„Nasza Ulica” ukazana jest w ruchu, w wielowarstwowym zróżnicowaniu, w dynamie przeżyć i działania, ale brak w niej punktów wyjścia, perspektyw rozwojowych. Metoda opisywania spraw w oparciu wyłącznie o losy jednostek doprowadza do zamknięcia książki klamrą beznadziejnego pesymizmu. Dopiero opublikowanie powieści w Niemieckiej Republice Demokratycznej, dopiero zestawienie tego zjawiska z sytuacją panującą w całych Niemczech i z latami przeszłymi stworzyły postowie autora, bez którego „Nasza Ulica” jest niepełna. Dopiero ono oprawia sens powieści w wspaniały, dialektyczny obraz drogi rozwoju nowych Niemiec.

ZOFIA RZEPLIŃSKA

Włodzimierz Boruński

DO NIEMIECKICH PRZYJACIÓŁ

Każdej nocy patrz na mnie oczy
Matki, siostry i brata.
Nieruchome i skamieniałe,
Nieme, suche i twarde...

A ze świtem daleki obraz
Znowu w przeszłość ulata.
Bija serca górnicze, wytrwałe,
O ścianę stalowym oskardem.

Każdej nocy wracają krzyki
Kobiet, mężczyzn i dzieci.
I te krzyki odkrywa czasami
Dawną rozpacz i prawdę naga.

A o świecie sen, niby orkan,
Myślą wzburzoną przeleci.
Dudnią szyny wagonami
Chłopców z Pafawagu.

Sen przynosi mi czapki gestapo
I płacząc przynosi mi Ciebie...
A ja budzę się. Patrzę przez okno.
A ja widzę: cegły na niebie!

W nocy dławi mnie gorzyc strachu,
Dom walący się, — zęby zandarmu...
A gdy rankiem wychodzę z domu
Na ulicach dziecięcy jarmark!

Myśli moja, która żyjesz we mnie
Jadem minionego okresu,
Przebij się przez słońce czasu
I serce w jego światło przesun!

Ty, któryś wszystkich stracił,
Pamiętaj: Polska rośnie wysoko...
Ten wiersz napisałem dla przyjaciół,
W Niemczech budujących pokój.

nia, ofiara jej bohaterów, to kamień cieżki w wodę, nad którym zamknęła się nieprzenikniona toń hitlerizmu. Ale ślad kamienia znikł tylko na powierzchni — kregi podwodne rozchodzą się poprzez wszystkie następne lata; ukazanie się zaś książki Jana Petersena w Niemieckiej Republice Demokratycznej, ukazanie się jej w Polsce, postwie napisane przez autora do polskiego przekładu — to wciąż ten sam nurt. Posłowie do „Naszej ulicy” dotarło do nas mniej więcej w tym samym okresie, co informacja w sprawie Wernera Ilberga. Zagadnienia o tematyce poznanej różnie można by jednak umieścić na płaszczyźnie tych samych rozważań: rozważań o losach Jałży, Poczdamu, kiedy największe mocarstwa świata układały program dla demokratycznego odrodzenia Niemiec. Bo słowa Petersena, zwrócone do społeczeństwa polskiego, to poglądy lekcja internacjonalizmu, sprawdzian głębokich przeobrażeń nie tylko ustrojowych, ale indywidualnych psychologicznych i światopoglądowych.

„Niech ta książka powie polskim czytelnikom, że my niemieccy antyfaszyscy wyciągnęliśmy właściwą naukę z haniebną przeszłości naszego kraju. Ze staramy się uczyć nie wszystko, co w naszej mocy, aby wytypić faszystów w całych Niemczech, aby stworzyć zjednoczone Niemcy Demokratyczne, które już nigdy nie będą zagrażały innym narodom wojną ani grabieżą. Dopiero wtedy uda nam się doprowadzić do zwycięstwa socjalizmu w całych Niemczech”.

To na pewno zupełnie nowy gatunek publikacji niemieckich. Z niemałą chyba satysfakcją wienęczył w ten sposób swe dzieło uczestnik walk z SS i S.A. na „Naszej ulicy”. I z niemałą również chyba zgrozotą interweniował w sprawie Ilberga, która jest symbolem bezwzględnej parodii Poczdamu. Czy po to ginęli w mękach towarzysze, żeby plenił się neofaszystów po wojnie? Znamienne są podkreślenia w posłowie wyrazów „całych” Niemiec, „całe” Niemcy. Antyfaszyscy niemieccy nigdy nie pogodzą się z myślą zwężania demokracji swego kraju do granicy Łaby. Zasilana potężnym wpływem opieki radzieckiej strefa wschodnia promieniuje na cały kraj: Front De-

logicznej, do koncepcji politycznych, do kształcenia świadomości ideologicznej. Kiedy zaś w roku 1949 ukazała się w Polsce — położyła kamień milowy na drodze przyjaźni polsko-niemieckiej, drodze nowej i trudnej.

„Książka niemieckiego antyfaszysty ukazuje się w nowej demokratycznej Polsce Ludowej. Fakt ten może autor powitać jedynie z wdzięcznością i głębokim wzruszeniem. Właśnie Polsce przecież zadała ręka niemiecka cięższe niż jakimkolwiek innemu krajowi, niewysłowione cierpienia. Właśnie Polska doznała większych niż jakikolwiek inny kraj zniszczeń i potworności. My, niemieccy antyfaszyscy, jesteśmy świadomi, że i na nas spada odpowiedzialność za to i że stać wynika dla nas jeszcze większe zobowiązanie zbudowania pokojowych stosunków sąsiedzkich między obu narodami”.

To wprawdzie tylko deklaracja, ale deklaracja, za którą stoi pięć lat budowania demokratycznego ładu. Poza tym latami — wstecz — ciągnie się setkami więzień i obozów koncentracyjnych „nasza ulica”, Franz Zander, Ryszard Hütig, Teichert, Preuss i inni miedują, że dawno włożyli swój udział w dzieło tworzenia Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Dział ten był wyczerpujący — zamykał w sobie obok trudów, ciężarów, mąk wszelkiego rodzaju najczęściej także śmierć. Najtrudniejszą jednak jego stroną był czas, w którym się dokonywał: okres, który Wilhelm Pieck, człowiy obok Ernesta Thaelmanna kontynuator postępowej myśli niemieckiej, charakteryzował w sposób następujący:

„Mamy sytuację, w której możliwe jest powolenie partii przez faszystów, zanim uda jej się przeprowadzić masy do boju. Nie jest to jednak jeszcze za późno, jeżeli nazizm natrafi na opór zjednoczonego frontu robotniczego” (Na posiedzeniu Centralnego Komitetu Partii w lutym 1932).

Pierwsze uderzenie hitlerowców skierowało się przeciw komunistom. Wilhelm Pieck walcząy nieustannie przeciwko tym wszystkim „lewicowcom”, którzy opowiali przeciwko jednolitemu frontowi; zamaczył nieustannie konieczność zjednoczenia się, jako jedynej możliwości odparcia rozszalałej ofensywy reakcji. Na próżno: socjaldemokraci, osławieni socjaliszo-



fol. St. Dziubiński

Mihail Eminescu

1850-1889



Mihail Eminescu

Stulecie urodzin Mihaila Eminescu, które Ludowa Republika Rumuńska uroczysto święci w roku bieżącym, dało powód do licznych rozpraw krytycznych i artykułów omawiających życie i twórczość Eminescu.

„Święcimy 100 lat od dnia urodzin Eminescu ukazując olbrzymie cierpienia największego naszego poety, wszystkie jego bunt, jego potężne oskarżenie przeciw uciskowi, wyobcowaniu i pochwytaniu życia przez rządy burżuazyjno-obszarnicze”.

Słowa te, wyjęte z czołowego artykułu tygodnika społeczno-literackiego „Contemporanul” oddają sens i pobudki do pracy nad nową interpretacją twórczości Eminescu.

Eminescu nie milczał. Bunt w jego twórczości był częsty. Wielki poeta bohaterko szukał prawdy przez poezję. Nie zawsze ją odnajdywał, nie zawsze umiał użyć w sposób zupełnie świadomy, ale poszukiwania jego są drogą klasie robotniczej.

Mihail Eminescu urodził się 15 stycznia 1850 r. W stulecie urodzin odbyły się uroczystości związane z jego imieniem we wszystkich ośrodkach fabrycznych, świetlicach wiejskich, szkołach, uniwersytetach. Rumuńska Akademia Nauk nadała Emini-

escu pośmiertnie tytuł członka Akademii. Jeden z publicystów rumuńskich, E. Jhebeleanu trafnie stwierdził, że Eminescu nabiera światowej sławy dzięki temu, że oddano go narodowi. Delegacje Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowych na akademii ku czci Eminescu w Bukareszcie podkreślały zgodnie jego wielkość. W czasopiśmie tych krajów ukazało się wiele poważnych artykułów na temat twórczości Eminescu. Jest on jednym z czołowych poetów świata, a w okresie, kiedy pisarze są określani jako „inżynierowie dusz”, w pełni zasłużył na miano wielkiego poety.

Wszystko to jest nagrodą za krzywdy, które wyrządziła mu za życia i w ciągu wielu lat po śmierci burżuazyjno-obszarnicza Rumunia.

Zycie Eminescu przypadło na ciężki, pełen wstrząsów i sprzeczności, okres dziejów Rumunii. Okres ten otwierała Wiosna Ludów 1848 roku. Koniec życia Eminescu upływał już wśród pierwszych przejawów rewolucyjnych ruchów proletariackich. Lud Rumunii jęczał w jarzmie wielkich obszarników. Wielkie latyfundiaria przerażały się w folwarki kapli-

talistyczne kosztem niesłychanej nędzy chłopstwa.

Eminescu pochodził z ubogiej rodziny, pracującej na wielkim obszarze. Od 14 roku życia zaczął się sam utrzymywać. Głód i nędza prześladowały go przez całe życie. Pracował kolejno w charakterze chłopca do posług, tragarza, suflera wędrownego prowincjonalnego teatru, znalazł dobre ciekawe, gorzkie życie pracującego ludu Rumunii.

A burżuazyjna legenda cynicznie głosiła o nim że z natury nie potrafi być szczęśliwy (Titu Maiorescu), że w każdej sytuacji nurtuje go wrodzony tragizm. Inni byli jeszcze bardziej cyniczni, gdyż sądzili, że właśnie nędza i bieda osobista są niezbędnym bodźcem jego twórczości.

Bogata i różnorodna spuścizna literacka Eminescu została zgrabnie przetrzebiona i sfalszowana przez burżuazję. Zatajono wiele pozycji ujawniających rewolucyjny protest poety. W wahaniach Eminescu, warunkowanych sprzecznościami jego epoki, usiłowano dopatrzeć się postawy reakcyjnej.

Eminescu nienawidził panującej klasy burżuazji i obszarników. Nie zdawał sobie jednak w pełni sprawy z siły wyzwoleniczej ludu. Ale umiał walczyć o jego prawa.

W czasach debiutu Eminescu toczyła się w Rumunii dyskusja na temat celów i zdań sztuki. Współczesny reakcyjny krytyk, Titu Maiorescu, napisał programowy artykuł w „Rozmowach Literackich”, organie konserwatywnego towarzystwa literackiego „Junimea”. Rozmówcom jego sprowadzało się do tego, że najgorszymi wierszami są wiersze polityczne, gdyż polityka jest produktem umysłu a poezja jest i musi być produktem fantazji. Zatem jedno wyklucza drugie. Poezja jest produktem luksusowego życia intelektualnego, a noble inutilit (szlachetna, niepotrzebna rzecz). Istnieje tylko dla zaspakajania zamilowań estetycznych.

Eminescu nie sobie z powyższych programów nie robił. W wyżej wspomnianym debiucie wystąpił wierszem „Epigoni” („Epigoni”) Poezję rozumie tam jako akt poznania, a nie pustą grę zgłosek.

W innym z wierszy powiada Eminescu wprost: Dajcie mi spokój z

waszymi radami o pięknym układaniu daktyli; Takich wierszy mógłbym pisać dziesięć tysięcy dziennie.

W wierszu „Epigoni” Eminescu świadomie ukazywał swój rodowy literacki i ideowy. Wiązał się z takimi pisarzami, jak Anton Pan, Eliade Radulescu, Boliac, Muresanu, Negruzzi, Alessandrii. Prawie wszyscy oni brali udział w rewolucji 1848 r. W tym rodowodzie nie wymienili ani jednego poety reakcyjnego.

Jednak najważniejszą rzeczą jest stwierdzenie, że twórczość Eminescu nie jest „meteoem”, jak ustowano określić, lecz najbardziej zaawansowanym etapem romantyzmu rumuńskiego. W swojej twórczości Eminescu koncentruje wszystkie wielkie zalety i błędy romantyzmu rumuńskiego.

Z całą ostrością należy podkreślić ludowy charakter liryki Eminescu, umiejętnie użytkowanie elementów artysty ludowego. W jego poezji natykamy się stale na motywy ludowe, konstruując rytmy na podstawie poezji ludowej.

Rumuńska Partia Pracy rozpoczęła i poparła kampanię o dokładną analizę i szczegółowe poznanie twórczości Eminescu.

„Nasza krytyka musi analizować i odważnie interpretować elementy pozytywne, realistyczne poezji Eminescu, jego ataki zwrocone przeciwko uciskowi burżuazyjno-obszarnicemu, elementy buntu społecznego — bez powiększenia jednak ich realnych rozmiarów. Uznanie twórczości nie oznacza przemilczania obcych wpływów ideologicznych. Obowiązkiem naszej krytyki literackiej jest ukazanie w świetle wiedzy marksistowsko-leninowskiej wszystkiego co pozytywne w twórczości naszych poetów i wyjaśnienie powodów istniejących sprzeczności. Krytyka musi wskazać na istniejące sprzeczności w twórczości Eminescu, ale musi też wytknąć, dlaczego Eminescu jest wielki w swoim patriotyzmie, mianowicie przeciw wyzyskiwaczom i w jakiej mierze pomaga nam dziś w walce, którą prowadzimy”.

Artykuły posypały się jak z rogu obfitości we wszystkich czasopiśmie rumuńskich.

Ponad 20 zasadniczych artykułów, nie licząc rozsmaitych przyczynków

CEZAR I PROLETARIUSZ

(fragment poematu)

Paryż plonie! — Burza się w nim przewala i gorze!
zamki jak czarne pochodnie — ognia żywego słupek —
dymy jak wybuch wulkanu, luny jak sadzą zaspane zorze —
płyną ryki i szczęki jak rzeka w rozgrzane morze —
Stulecia umarli! — Paryż stuleci grób!

Bruk ulic krwią pożogi nieustannie broczy,
barykady wysokie sypie ludzki rój —
z pieśnią rewolucyjną kroczy lud roboczy
kwitną frygijskie czapki, błyszczą stałą oczy —
dzwony ochryple huczają na alarm! na bój!

Białe, zimne, aż martwe — jak głuche marmury —
lasem czerwonych ogni idzie niewiast krąg —
z bronią w ręku, miast włosów rozwiane wichury
na głowach, piersiach, plecach — a w oczach ponury
krzyk grozy nienawiści, rozpacz i mąk.

O walcicie, wy okryte węzami warkoczy
każde dziecko zdeptane zbliża jutra dni —
niech się czerwony sztandar nad was roztoczy,
niech was rozgrzeszy jutra głos proroczy —
ci, co was sprzedawali winni — lecz nie wy!

M. EMINESCU

M. Eminescu „Wybór poezji i poematów“ przekład Emila Zygałowicza. Warszawa 1933 r. Nakładem księgarni F. Hoesicka.

i marginaliów. Jak na początek roku Eminescu, to wcale pokazań liczb. Wszystkie artykuły w syntezie udowodniły, że Eminescu jest poetą narodowym, że jego twórczość jest głosem buntu mas najliczniejszych i wyszyskiwanych, że tkwił mocno w rzeczywistości. Krytyka wydobyla z jego twórczości wielką miłość człowieka i przyrody. Podkreśliła szczególnie ostro, że wzbogacił on język literacki ludowym słownikiem. Wydobyla też Eminescu jako publicystę. Przypomniano jego trafne uwagi zawierające krytykę burżuazji. Napisał o niej:

wolność — jest dla niej wolnością,
wyzyskiwania;
równość — że mogą się stać tyranem,
jak i mój sąsiad;

braterstwo — frazes.

Krytycy burżuazyjni traktowali Eminescu, jako produkt romantyzmu zachodnio-europejskiego, pomniejszając w ten sposób wielkość jego poezji. W jednym z swych artykułów publicystycznych Eminescu krytykuje romantyzm byroński i ponury naturalizm niektórych romantyków. Przeciwistawia im sztukę ludową, jako wieczne źródło nowych natchnień.

Ludowość cenii nade wszystko. Współcześni mu filologowie chcieli język rumuński bardziej zlatynizować i zitalienizować, czyli stworzyć język sztuczny. Z całym oburzeniem pisał wtedy: „Myśleć, że naród liczący ponad 10 milionów jest złożony tylko z głupców, którzy nie mieli ani tyle słuchu, ani rozumu, żeby mówić porządnym językiem, przyjąć następnie, że tylko panowie filologowie są mądrymi ludźmi, którzy nas wyprowadza na właściwą drogę teoriami wysypanymi z pałca w obrębie czterech ścian to obraza dla narodu rumuńskiego, który mówił i pisał jakoś, zanim jeszcze nie było filologów”.

I Eminescu wygrał kampanię. Jego język jest najpiękniejszym językiem rumuńskim, bo jest wzięty z żywego języka ludu.

Eminescu zasłużył sobie na uznanie Ludowej Republiki. Współcześni poeci piszą o nim, jak o swym najlepszym przyjacielu: Gdyby żył wśród nas, nie musiałby tyle cierpieć — a pomógłby nam czynnie, tak jak pomaga swymi wierszami w walce.

Helena Bielska.

Wacław Szumski

Chiny wolne



Mao Tse - Tung

kowzroczności i lęku przed wciągnięciem szerokich mas do ruchu rewolucyjnego.

Sun-Jat-sen, nawoływał do „przebudzenia mas” do „udzielenia pomocy robotnikom i chłopcom”. Zdaniem Sun-Jat-sena powołana do tego była burżuazja narodowa i drobno-mieszczastwo. Sun-Jat-sen nie widział prawdziwego chorążego idei wyzwolenia i całkowitej demokratyzacji kraju w chińskiej klasie robotniczej, w jej rewolucyjnej marksistowskiej partii, w przodującej i kierowniczej sile klasy robotniczej i jej partii.

„Dlatego poniosła krach 40-letnia działalność rewolucyjna Sun-Jat-sena”, zapytuje premier Chin Ludowych i przewodniczący Komunistycznej Partii Chin, Mao-Tse-Tung. „Dlatego, że w epoce imperializmu drobno-mieszczastwo i burżuazja narodowa nie mogą przeprowadzić z powodzeniem pod swym kierownictwem żadnej prawdziwej rewolucji”.

Wybuch Rewolucji Październikowej wstrząsnął światem. Zwycięski lud burzył stare i budował nowe życie wolne od kapitalizmu, rewolucyjna energia rosyjskiego proletariatu dokonywała wielkopomnego dzieła tworzenia pierwszego w świecie państwa socjalizmu.

„Głos marksizmu-leninizmu, pisał Mao-Tse Tung dobiegł do naszych uszu dopiero z hukiem Rewolucji Październikowej. Rewolucja Październikowa pomogła elementom postępowym całego świata, w tej liczbie i Chin zastosować proletariacki pogląd na świat, by zdecydować o losach kraju i zrewidować swe własne problemy. Wniosek był jeden — iść za przykładem Rosjan”.

Komuniści chińscy, którzy stanęli na gruncie leninowsko-stalinowskiej nauki o ruchu narodowo-wyzwoleniczym, o rewolucji w krajach kolonialnych i zależnych w okresie imperializmu, stali się czołowym odziałem walczącego przeciwko reakcji i imperializmowi ludu chińskiego.

Hartowała się w aktywnej walce z burżuazją, w licznych strajkach i demonstracjach, chińska klasa robotnicza. W roku 1921 powstaje Komunistyczna Partia Chin.

Testament polityczny Sun-Jat-sena nakazywał: „W celu odniesienia zwycięstwa powinniśmy zbudzić masy narodu i zjednoczyć się we wspólnej walce z tymi narodami świata, które uważają nas za równoprawny naród”.

Sun-Jat-sen jako człowiek postępu i prawdziwy rzecznik wyzwolenia Chin spod jarzma imperializmu, powitał Rewolucję Listopadową i pomoc jaką Rosja Radziecka udzieliła Chińczykom, ustosunkował się pozytywnie do współpracy z Komunistyczną Partią Chin.

Już w toku rewolucji 1925 — 1927 proletariacki chiński z partią komunistyczną na czele stał się kierownictwem w walce ludu chońskiego, a jego autorytet i wpływ w szerokiach

masach ogromnie wzrósł. Polityka jednolitego frontu rewolucyjnego i współpracy z Kuomintangiem nie oznaczała bynajmniej rezygnacji z samodzielnej pracy partii komunistycznej wśród robotników i chłopów. Ta praca komunistów chińskich szła w kierunku zwalczania wstecznicstwa wewnętrznego obcego imperializmu.

„My, jako komuniści — pisał Lenin — tylko wówczas powinniśmy i będziemy popierać ruchy burżuazyjno-wyzwolenicze w krajach kolonialnych, kiedy ruchy te są rzeczywiście rewolucyjne, kiedy ich przedstawiciele nie będą przeskadzali nam w wychowywaniu i organizowaniu chłopstwa i szerokich mas wyzyskiwanych w „Duchu rewolucyjnym” (Dziela t. XXV, str. 353, wyd. 3-cie).

Rewolucja chińska w latach 1926 — 27 przeszła przez etap ogólnonarodowego, zjednoczonego frontu (t. zw. okres kantoński), „kiedy rewolucja kierowała nowe uderzenie głównie przeciwko imperializmowi zagranicznemu, a burżuazja narodowa popierała ruch rewolucyjny” (Stalin).

W drugim etapie tej rewolucji, burżuazja narodowa porzuciła obóz rewolucji i przeszła do obozu reakcji i imperializmu. Był to okres potężnego rozrastania się ruchu agrarnego — rozniecania rewolucji

i wystąpienia rewolucyjnych mas do walki przeciwko imperializmowi.

Nie wykonała ona również swego zadania rewolucji agrarnej, przekazując je trzeciemu „obecnemu, etapowi rewolucji, zadanie całkowitego i bez reszty wykorzenia pozostałości feudalizmu, z jednej strony i sprawę zupełnego wyeliminowania wpływu imperializmu w Chinach z drugiej strony, Chiny ludowe, rzeczywistnie obecnie wielkie zadania budownictwa ustroju ludowo-demokratycznego, wykonują do końca niespełniony w warunkach lat ubiegłych testament rewolucji burżuazyjno-demokratycznej.

W 1927 r. po śmierci Sun-Jat-sena Kuomintang przekształcił się w partię reakcyjnego bloku burżuazji i obszarnictwa, i przy czynnym poparciu imperializmu ustalił antyrobotniczą i antychlopską dyktaturę Czang Kai-Szeka w Chinach.

W tych ciężkich chwilach rewolucji chińskiej, Józef Stalin wpał w serca komunistów chińskich i narodu chińskiego niezłomną wiarę w zwycięstwo rewolucji.

Huraganowy ogień skierowany przez imperializm na domy mieszkańców Nankinu miał stłumić w 1927 r. rewolucję chińską, miał „odczyścić” kulisów od myśli o lepszym życiu.

„... Jedynie ludzie, którzy zdziecin-



Kwang - Sze - Kuo: „Hańba leniwe mu” (współczesny chiński drzeworyt ludowy)

nieli, mogą sądzić, że prawa arterii są silniejsze od praw historii, że można cofnąć koło historii przy pomocy strażów w Nankinie... Polityka zastraszenia posiada swoje „uzasadnienia” w historii imperializmu. Lecz, że polityka ta bez wartości nie osiąga celu — nie ulęga chyba żadnej wątpliwości” — pisał J. Stalin.

Komunistyczna Partia Chin przeszła długą i trudną drogę 28 lat walki. Dowiodła ona swej bezgranicznej ofiarności i bohaterstwa w pierwszych szeregach 8-jej ludowo-rewolucyjnej armii i oddziałach partyzanckich w wojnie przeciwko zaborem japońskim. Kierowała ona, uciekała jednolity front ludowy

nieli, mogą sądzić, że prawa arterii są silniejsze od praw historii, że można cofnąć koło historii przy pomocy strażów w Nankinie... Polityka zastraszenia posiada swoje „uzasadnienia” w historii imperializmu. Lecz, że polityka ta bez wartości nie osiąga celu — nie ulęga chyba żadnej wątpliwości” — pisał J. Stalin.

Komunistyczna Partia Chin przeszła długą i trudną drogę 28 lat walki. Dowiodła ona swej bezgranicznej ofiarności i bohaterstwa w pierwszych szeregach 8-jej ludowo-rewolucyjnej armii i oddziałach partyzanckich w wojnie przeciwko zaborem japońskim. Kierowała ona, uciekała jednolity front ludowy



Sze - Lu: „Konferencje bohaterów” (współczesny chiński drzeworyt ludowy)

ogarniający szerokie masy robotników i chłopów, rzemieślników, inteligencji pracującej i postępowe warstwy drobnej i średniej burżuazji.

Sukcesy Armii ludowo-wyzwoleniczej i wpływ komunistów były tak znaczne, że po klęsce Japonii Kuomintang został zmuszony pójść na ugodę z komunistami, ale trwało to niedługo. Reakcja chińska ruszyła jedno do ataku, zdeptała umowę o jednolitym froncie i rozpoczęła wojnę domową. W wojnie wypowiedzianej ludowi chińskiemu Czang-Kai-Szek stawiał na przewagę liczebna armii kuomintangowskiej i wyższość w zaopatrzeniu technicznym, zapewnioną mu przez doktrynę Trumana w postaci amerykańskich armat, czołgów i samolotów, w postaci 6 miliardów dolarów uzyskanych tytułem pożyczki potężnego zastrzyku złota dla bankrutującego wasala chińskiego.

Amerkańscy kapitaliści uzyskali od Czang-Kai-Szeka nowe przywileje, pod ich faktyczną kontrolę przeszła gospodarka, cała polityka wewnętrzna i zagraniczna Chin kuomintangowskich.

Plany Trumana i kliki Czang-Kai-Szeka pokrzyżował naród chiński, jego partia komunistyczna, jego armia narodowo-wyzwolenicza.

Sprawdziły się proroczy słowa Lenina, że zwycięstwo Armii Czerwonej przeciwko białogwardzistom i obecnej interwencji dowioda narodom Wschodu, iż „jakkolwiek słabe były by te narody, jakkolwiek niezwykłą wydawała by się potęga ciemniejących europejskich, stosujących w walce wszystkie cuda techniki i sztuki wojennej — wojna rewolucyjna, którą prowadzi narody uciskane, jeżeli wojna ta potrafi rzeczywiście obudzić miliony pracujących i wyzyskiwanych, kryje w sobie takie możliwości, takie cuda, że wyzwolenie narodów Wschodu staje się obecnie w pełni praktycznie osiągalne...” (Lenin, Dzieła t. XXIV, wyd. trzecie, str. 544).

Chiny ludowe, kierowane przez potężną partię komunistyczną, kroczą po drodze wytkniętej przez naukę Marksa — Engelsa — Lenina — Stalina, powiązają walkę o wyzwolenie narodowe Chin z walką przeciwko obszarnikom i kapitalistom, przeciwko reakcyjnej kliki kuomintangowskiej i ich zagranicznych mocodawców. Przeprowadziły reformę rolną i unarodowienie wielkiego przemysłu w interesach ciemniejszego i wyzyskiwanego dotąd ludu pracującego chińskich miast i wsi.

Zapoczątkowały wyzwolenie całego kolonialnego Wschodu, oskrzydliły narody całego świata w ich walce o socjalistyczne jutro.

475 milionów Chińczyków przystąpiło do zakładania trwałych fundamentów socjalizmu.

„W ciągu 28 długich lat istnienia naszej partii dokonaliśmy tylko jednego dzieła, pisał Mao-Tse-Tung, odnieśliśmy zwycięstwo w walce rewolucyjnej. Należy ten fakt podkreślić, ponieważ jest to zwycięstwo ludu, a przy tym — zwycięstwo w tak wielkim kraju jak Chiny. Jednakże wiele jeszcze pozostaje do zdziałania. To czego dokonaliśmy w przeszłości stanowi dopiero pierwszy krok na naszej wielomilionowej drodze. Musimy jeszcze zniszczyć wroga aż do ostatka i wypelnić ogromne zadanie budownictwa gospodarczego...” Partia komunistyczna Związku Radzieckiego jest naszym najlepszym nauczycielem, u którego powinniśmy się uczyć“.*)

Chińczycy uczą się u swych prawdziwych przyjaciół.

Braterskie stosunki łączące Chiny ze Związkiem Radzieckim i krajami demokracji ludowej, oparte są na czynach. Związek Radziecki był pierwszym państwem w świecie, które zawarło równoprawny traktat z Chinami.

Armia Radziecka rozgromiła imperialistów japońskich — najbliższego i najniebezpieczniejszego wroga Chin. ZSRR był pierwszym państwem, które uznało rząd Chin Ludowych, prawo narodu chińskiego do własnego suwerennego państwa i rządu.

Churchill, stary wyga imperialistyczny i podżegacz do wojny, określił powstanie Chin ludowych, jako największe nieszczęście, które nastąpiło po drugiej wojnie światowej.

Rzeczywiście. Chiny ludowe — to wielkie nieszczęście i wyłom w kruszycach murach imperializmu. Świat kapitalistyczny kurczy się z każdym dniem; w Białym Domu, Truman zastanawia się dziś nad możliwością ocalenia kapitalizmu w jednym kraju.

Wielkie zwycięstwo ludu chińskiego — powstanie Chińskiej Republiki Ludowej — to zwiastun bliskiego wyzwolenia uciskanych ludów Wschodu, to ogromne wzmocnienie sił całego obozu socjalizmu i postępu.

Nad Chinami świeci słońce wolności.

WACŁAW SZUMSKI

*) Mao-Tse-Tung „O dyktaturze demokracji ludowej”, Zeszyty filozoficzne „Nowych Dróg”, seria 2.

IZABELA CIAPALANKA

O NOWEGO BIBLIOTEKARZA

Zagadnienie kształcenia nowych sił bibliotekarskich jest często poruszane (może dość pobieżnie), w artykułach takich tygodników społeczno-literackich jak „Kuznica” czy „Więś”.

A. Wasilewski w pierwszym numerze „Wsi” br. w swym artykule „Rok kulturalny 1949” pisze: „działalność KUK-u jak i realizacja ustawy bibliotecznej umożliwiły przeprowadzenie planu rozbudowy bibliotek gminnych i powiatowych. Trzy lata planowej pracy wokół rozbudowy bibliotek powszechnych przyniosły parokrotny wzrost zbiorów (jedna książka na 8 mieszkańców wsi i jedna książka na 4 mieszkańców miasta). I tu zaznacza się ujemnie brak odpowiednich kadr bibliotekarskich. Zaopatrzone w wyczerpujący zbiór wartościowych książek biblioteki częstokroć nie wykorzystywane z braku personelu kierowniczego”. Nowych bibliotekarzy — oświatowców nie tylko brak na wsi ale i w mieście. Oto jak ocenia rolę biblioteki i bibliotekarza H. Radlińska w swej „Książce wśród ludzi”: „Rola biblioteki publicznej we współczesnej organizacji czytelnictwa przekracza znacznie samą tylko funkcję dostarczania książek. Biblioteka jest źródłem wiedzy o książce. Bibliotekarz staje się przewodnikiem i wychowawcą o innym typie pracy, niż nauczyciel. Bez niego księgozbiór byłby martwy, nie byłby biblioteką. Zadaniem bibliotekarza jest nauczyć czytać naprawdę, tj. korzystać z książek i stosować zdobycze książkowe w życiu. Równocześnie ma uczyć czytelników obchodzenia się z książką, jako przedmiotem”.

Z tych względów, musimy docenić rolę bibliotekarza w rozpowszechnianiu książki i wmożeniu czytelnictwa. Praca i rezultaty w tej dziedzinie zależą przede wszystkim od należytego wykształcenia bibliotekarza, jego postawy, aktywności, siły oddziaływania na czytelnika.

Bibliotekarz-oświatowiec winien pamiętać o tym, że „książka-narzędzie musi być używana, żeby swą rolę spełnić”. Książka — narzędzie była rzadko używana dlatego, bo była niedostępna dla szerokiej mas ludowej, a według wyżej wspomnianej Radlińskiej „biada skarbowi, które tylko szczupłej garstce są drogim”.

Były skarby te (myślę o książkach) stały się dostępne dla wszystkich, musi się je umiejętnie czytelnikowi podać. W dużej mierze zainteresowanie książką szerokiego ogółu zależy od rozwiniętej działalności bibliotekarza. Trzeba raz na zawsze skończyć z tym automatycznym sposobem pracy, ograniczającym się do wydawania i przyjmowania książek! Czytelnik o głęboko przeżytych książkach pragnie rozmawiać, dzielić się swymi spostrzeżeniami. Z największą pomocą w nierozwiązanych i trudnych zagadnieniach przyjdzie mu doświadczony bibliotekarz rozświetlający te problemy. Możemy bez ryzyka powiedzieć, że bibliotekarz to pomost łączący autora z czytelnikiem, jest on także przewodnikiem początkującego i niewyrobionego kandydata na czytelnika. Nie możemy zapominać o tym, że w obecnej dobie szczególnie pieczołowitą opieką należy otoczyć dwie grupy czytelników, tj. starszych, którzy obecnie posiadli umiejętność czytania i pisanie oraz młodzież. Tym grupom można ułatwić należyty korzystanie z przeczytanej książki, przez jej zreferowanie, organizowanie dyskusji czy

żywych recenzji. Dały by one możliwość wymiany spostrzeżeń, co jest bardzo ważnym czynnikiem w zrozumieniu książki. Po takich dyskusjach skierowanych na właściwe tory, nie zachodziłaby obawa powrotu do bezwartościowych powieści Rodziewiczówny, Mniszkówny czy Zarzyckiej i im podobnym.

Bibliotekarz może wygłosić referat oceniający „twórczość tych wielkich literatów” w takim świetle, aby czytelnik nie tracił czasu na czytanie owych „arcydzieł literatury”. Uniknietoby również tego niezdrowego „połykania książek” (przeważnie bezwartościowych) po którym nie następuje żadna refleksja.

Takie powieści jak „Młoda Gwardia” A. Fajdejewa, „Przyszłość należy do nich” L. Leontiewa, „Początek pedagogiczny” A. Makarenki, zdobyły sobie tyle uznania wśród młodzieży, że często słyszy się podobne wypowiedzi: „radziecka powieść dla nas to prawda, a nie budzą jak nas karmiono. Zachwycaliśmy się przegodami fikcyjnych, wymyślonych bohaterów, dziś zachwycamy i uczymy się walki od Koszewojów, pracy od Łapocinów, Zadorowów, nauki od Batanowów”.

Ta część młodzieży tak oceniającej książki oddziałuje ze skutkiem na „połykaczy”.

Pisząc o takiej działalności bibliotekarza mam na myśli biblioteki gminne, fabryczne, związkowe, szkol-

ne. O ruchomych bibliotekach L. Miot. w 50 nr „Wsi” z 1949 r. pisze: „Spotykam się z twierdzeniem, że ruchome biblioteki przynoszą wsi nieocenione korzyści, koniecznym jest jednak, by bibliotekarz znał książki, które wypożycza, umiał je streścić, potrafił wytypować najważniejsze problemy. Równocześnie powinien wyczuć w początkującym czytelniku jego zainteresowania, nie schlebzać im jeśli są złe, pogłębiać kiedy zmierzają w dobrym kierunku. Nieodpowiednia książka dana początkującemu czytelnikowi, zraża go i odstrasza od dalszego czytania. Myślę, że powinny być wprowadzone celem popularyzacji dobrej książki, konkursy z nagrodami dla najlepszych czytelników”.

Uwagi te, moim zdaniem nie powinny odnosić się tylko do bibliotek ruchomych ale do tych także, które wyżej wymieniam.

To ciężkie i bardzo ważne zadanie wykształcenia kadr bibliotekarzy o nowym podejściu do czytelnika podjęto Liceum Bibliotekarsko-Księgarskie w Krakowie (aż smutno stwierdzić — jedyne w Polsce).

Mamy nadzieję, że ci nowi nie będą przypominali nam starych „moli książkowych”. Potrzebni są nam oświatowcy, działające społecznie, których zadaniem będzie propagowanie książki i prasy tych tak doniosłych czynników wychowawczych.

IZABELA CIAPALANKA



Zespół świetlicowy w Dąbrowie Zduńskiej gra „Matkę” Gorkiego

ANDRZEJ WERA

ŚWIETLICA — ŻYCIEM GROMADY

W czasie trwania Krajowej Konferencji Związku Samopomocy Chłopskiej w Warszawie stwierdzono, że jednym z ważniejszych osiągnięć minionego roku 1949 jest poważny wzrost sieci bibliotek oraz ich zaangażowanie w książki.

W ciągu 1949 roku powstało we wszystkich województwach 2.533 nowych bibliotek, przy świetlicach wiejskich. Biblioteki te liczą ponad 316 tysięcy tomów. Tak więc istnieje już obecnie na wsi 4.165 bibliotek posiadających łącznie blisko 455 tysięcy tomów. Z bibliotek tych korzystają masowo chłopcy mało i średniorolni. Szczególną poczytnością cieszą się utwory pisarzy radzieckich oraz wydania książek z zakresu rolnictwa i jego strony fachowej.

Tak mniej więcej w telegraficznym skrócie cyfrowym przedstawia się sytuacja na odcinku rozwoju bibliotek we wszech naszym kraju. Przyjrzyjmy się teraz temu samemu zagadnieniu na terenie województwa łódzkiego. Przy 345 świetlicach powstałych do chwili obecnej (w roku ubiegłym było ich zarejestrowanych przy ZSCH około 100) zarejestrowano 121 bibliotek. Trudno jest tu opisać pełnymi danymi co do ilości książek znajdujących się w wymienionych 121 bibliotekach. Z każdym bowiem tygodniem, ba z każdym dniem ilość książek stale się powiększa. Równocześnie rozwija się czytelnictwo. Obecnie znowu przybędzie województwu łódzkiemu kilkanaście nowych biblioteczek. Otrzymały je zespoły świetlicowe w nagrodę za udział w Festiwalu Sztuki i Pieśni Radzieckich. Na podstawie niekompletnych danych, (inventaryzacja bibliotek nie wszędzie jeszcze została przeprowadzona) możemy stwierdzić, że przeciętnie każda biblioteka posiada ponad 100 tomów. Są to książki dobierane, przeważnie pochodzące z bibliotek organizowanych dla wsi przez TPPR oraz ZSCH.

Istnieją jednak na terenie województwa łódzkiego biblioteki świetlicowe, wyróżniające się bogactwem posiadanych księgozbiorów, jak również sposobem organizowania czytelnictwa. W Hucie Dłutowskiej powiatu łaskiego biblioteka liczy 1500 książek, w Gorzkowicach — 1000 książek. Pod względem organizacji czytelnictwa w bibliotekach, przoduje Małków w powiecie sieradzkim. Jest to bezwzględnie zaufaniem młodzieży wiejskiej uczęszczającej do Uniwersytetu Ludowego, która właśnie pracą zespołową potrafiła przyciągnąć do świetlicy ogół mieszkańców wspomnianej gromady.

Oprócz kwalifikowanego bibliotekarza, który zajmuje się propagowaniem, wydawaniem książek i rejestrowaniem ich w kartach czytelników, młodzież pełni rolę, dopilnowując by w czytelnicy panowała cisza, aby książki nie były niszczone itp. Ta sama młodzież postarała się o wywieszenie hasel, wzywających

do rozpowszechniania czytelnictwa i szanowania książek.

Ze właśnie książka ma wpływ na kształtowanie się życia świetlicowego potwierdzają i inne przykłady ze wsi województwa łódzkiego. Weźmy gromadę Jasioną z powiatu sieradzkiego. Biedna, zniszczona na skutek utworzenia przez okupanta poligonu wieś. Borykanie się z twardym ziemem, ciężki dorobek, zacykanie gospodarstwa o nowa. I w tym twardym dorobku dociera nagła na zapadłą wieś biblioteka Samopomocy Chłopskiej. Zaczyna młodzież czytać książki, przynosi je do domów, by przy świetle kopcepcy naftowej lampki, poczytać i na głos wszystkim domownikom. Książki są ciekawe, budzą zainteresowanie wśród starszych a nawet najstarszych ze wsi. I kiedy otwarta została świetlica, nawiasem wspominając, budowana wysiłkiem wszystkich mieszkańców wsi, schodzą się do niej wszyscy, by wspólnie poczytać. Książki w końcu wszystkie są znane. Na nowe nie stać. I wtedy zrodziła się w Jasionej „wielka koncepcja” — wszyscy mieszkańcy gromady członkami świetlicy. — Zrobiono samorzutnie własne legitymacje, ustalono składki członkowskie w wysokości 15 złotych miesięcznie. To dało pokąźną sumkę, za którą kupiono nowe książki. Ale nie chodzi o same książki. Tu już mamy dowód pracy kolektywnej nad rozwojem świetlicy, pracy całej wioski nad jej jakością. Chłopi z młodzieżą czytali wspólnie, dyskutowali, wybierali książki najlepsze. Z satysfakcją patrzyliśmy na zespół artystyczny z Jasionej biorący udział w eliminacjach na Festiwalu Pieśni i Sztuki Radzieckiej. Zespół ten doszedł do eliminacji wojewódzkich i tego sukcesu niejedną zespół województwa łódzkiego jasionakom zazdrościł. Zespół artystyczny liczący ponad 60 osób wystawił montaż sceniczny zatytułowany „Przyjaźń”, odtwarzający walkę żołnierza polskiego u boku żołnierza radzieckiego o wyzwolenie wsi. W montażu wzięła udział cała gromada, przy czym najmłodszy aktor liczył 4 lata, najstarszy 64 lat. Za udział w eliminacjach wojewódzkich świetlica w Jasionej otrzymała biblioteczkę ZSCH liczącą 76 książek.

Zwrot w pracy świetlicy nastąpił właśnie w okresie festiwalu. Świetlice, które oparły się na kolektywnej pracy, poszukiwały nowego repertuaru i nadal go szukają, wybiły się, realizując jednocześnie postulat jakości w swej pracy. Już nie wyłącznie „Wesele Jagny”, ale nowe utwory, nowe inscenizacje wybierane z otrzymywanych bibliotek TPPR-u stają się podstawą rozwoju już 75 zespołów artystycznych istniejących i pracy świetlic. I wydaje mi się, że jeżeli świetlice woj. łódzkiego nadal pójdą tą drogą, jakoś ruchu świetlicowego nie będzie już budzić zastrzeżeń.

A. Wera

NOWIŃSKI MARIAN

W ROZMOWIE ZE ZNAJOMYM

Przed kilkoma dniami spotkałem się z dobrze mi znajomym K. Lubaniskim w m. Olsztynie.

Ruszyliśmy w kierunku Starego rynku Warszawskiego. Dowiedziałem się od mojego znajomego jeszcze dużo. Ile rodzin w Walinowie było, ile weseł, zabaw itp. Zdaowało mi się, że oprócz kilku weseł, urodzin, zabaw i uzdrowienia stosunków w spółdzielni nie poważniejszego w Walinowie nie zaszło. I byłoby się na tym skończyło, gdyby nie gazety leżące na sąsiednim stoliku. Mój znajomy przyjaciel K. Lubanski bierze „Życie Olsztyńskie” i wpatruje się w jego szpalty. Zdziwiło mnie to bardzo. Dlaczego się tam wpatruje, przecież obrazków nie ma, a do mojego odjazdu z Walinowa Lubanski był analfabeta. Ciekawość nie dała mi jednak spokoju — zapytałem.

— To ty jeszcze nie wiesz, że obecnie jest walka z analfabetyzmem. Przecież w Walinowie nie tylko ja jeden, ale i inni też się nauczyli tej sztuki. A w dalszym ciągu kurs jest i ja chodzę. Trochę wstyd, że z dziećmi trzeba się uczyć, ale trudno. Wstyd, wstydem, ale przyjemnie jest wieczorem wiać gazetę do ręki i poczytać. Przychodzi do mnie „Chłopska Droga” i „Gromada”. Ci co się wstydzieli chodzić, to jak byli słup-

kami, tak dalej nimi są i jak w gminie krzyżami podpisywali się tak dalej to robią. Taki Kopeć, Wronski, Kuźma, Sołdek i inni to ani sobie nie dali mówić, żeby chodzić na kurs. Przychodził do nich nauczyciel i z powiatu przyjeżdżałi, wszystko na nic. Nie wiem czy teraz będą chodzić, choć w gminie nad nimi radzili. Jak cała gmina o nich mówi to większy wstyd, niż chodzić z dziećmi do szkoły, gdzie się można czegoś nauczyć.

Przez 5 miesięcy nauczyłem się czytać i pisać, choć to ostatnie ciężiej idzie, ale będę się starał podciągnąć. Rozmawialiśmy jeszcze jakiś czas. Z rozmowy tej utkwiło mi to, że na 47 analfabetów w Walinowie po 5 miesiącach — 29 już czyta gazety. Wniosek z tego taki, że o wielkich, historycznych sprawach i wydarzeniach mówi się teraz na wsi przy każdym spotkaniu. Mówię historycznych, bo dzisiejszy Lubanski, to nie ten z przed 5 miesięcy. Z obecnym Lubaniskim można budować socjalizm. Kiedy wszyscy analfabeci, będą tak podchodzili do tej sprawy jak Lubanski, to jest pewne, że spuszczając sanacyjną i pokapitałistyczną szybko wycyścimy z naszego życia, a ciężą ona poważnie na naszej pracy i hamuje ją.

Marian Nowiński

MARIAN WILCZYŃSKI

POSPÓLNA ROBOTA

Zdała od szosy rozciąga się wieś Rogowa, licząca 42 chałupy. Ziemia tu lica: same piaski i sapy. Chaty jednakowe, kryte słomą, obecnie „zagacone” grubą warstwą liści lub ściółki. Prawie wszystkie pochylone, krywe, tu i ówdzie podparte — a nade wszystko bieda z nich wizera, że aż hej!

Gospodarstwa karłowate od 1/2 do 3 ha. Dwa z trzech mają po 5 ha, a jeden — 8 ha. Ci, wśród tej biedoty tworzą elitę wsiową — inaczej się noszą, mało wdają się z pozostałymi, hardo podnoszą głowy do góry — ba, nawet chcą aby im czapkęwać, zwyczajnie jak to bogaci!

Mało kto tu wiedział o niedawna o Rogowej, o jej mieszkańcach, o ich biedzie i o ich zamiarach na przyszłość.

Dziś dopiero, a właściwie od niedawna zaczął się jakiś ruch w spokojnej i zabiedzonej wsi. Jakies narady u sołtysa, a to wyjazdy do gminy, a to znów do Radomia, a to gdzieś tam jeszcze — to znów jakieś auto wjeżdża do wsi, rozpryskując to rogowskie błoto, strasząc, a równocześnie zaciekawiając najmłodszych mieszkańców tej wsi, którzy boso, z umorusanymi butami, w byle jakich katanach wyglądają zza węgłów.

A zaczął się ten cały ruch gdzieś w październiku ub. roku. Na jed-

ra. Dali — ci najbiedniejsi. Tylko tych kilku bogaczy nie chciało uszczuplić swych kies, powtarzając uparcie: „A bo to wy nęda postawia szkołę?”

A właśnie ta „nędza” zawzięła się. Pieniądże zebrali — zrab za 200 000 zł. kupili — sami go zwieźli — a potem „cała gromada tylko bez bogaczy Kołaca i Kapturskiego Franciszka zjechała się, ino kurz poset i migiem przywieźli kamienie i cegły”.

Od dnia tego kolejno pracowali przy stawianiu: mężczyźni, kobiety, a nawet dzieci szkolne. Każdy chciał, aby część jego wysiłku była również wliczona do budowy. „Tużwa dopiero poznali — mówi Kapturski Stanisław — co znaczy zgoda, pospólna robota. Nijak jeden człowiek nie wydoła zrobić tego, co potrafi gromada”.

I stanęła szkoła o jednej dużej sali, drugiej nieco mniejszej, przeznaczony na świetlicę i o dwóch pomieszczeniach na mieszkanie dla nauczyciela. Wprawdzie wewnątrz jeszcze nie wykończona — ale jak mówi sołtys — „z wiesną pójdzie nam wszystko przedko”.

„A dziś znów przemysłujemy — przerywa pełen zapału i optymizmu sołtys — że u nas należałoby założyć spółdzielnię hodowlaną”.

„O tak — dodaje inny — trzeba obsuszyć 80 ha łąki, które teraz całkiem się marnuje”.



nym zebrał Zw. Sam. Chłop. i Str. Ludowego, sołtys ob. Grduk i członek Kom. Rodz. ob. Czubak Stanisław poddali myśl, aby upamiętnić Zjedn. Stronictw Ludowych — a najlepszą, a równocześnie najbardziej potrzebną, jest tu szkoła.

„Postawmy szkołę” — zawyro-kował sołtys, a inni go poparli.

Od uchwały szybko przeszli do czynu. Opatkowali się z hekta-

Istotnie te 80 ha łąk położonych poza wsią, dziś nie przynosi prawie żadnych korzyści, trzeba bowiem kosić w wodzie, w wodzie zbierać trawę o niewielkiej wartości.

Ludzie tutejsi, pełni zapału, z zadowoleniem obserwują przemiany, jakie dokonywały się i dokonują w ich oczach, biorą w nich samemu żywy udział i brać będą coraz żywszy. MARIAN WILCZYŃSKI

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL

Redaguje Komitet.

Adres Administracji: Warszawa, ul. Wilejska Nr. 12 Adres Redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza Nr. 7.

Tel. Red. Nacz. 812-71. Tel. Redakcji 8-00 61 do 6 wewnątrz 23 i 76.

Wyd.: SPÓŁDZIELNIA WYDAW. - OŚW. „C Z Y T E L N I K”

REDAKCJA NIE ZAMOWIANYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA.

Adres Prenumeraty i Ogłoszeń — Warszawa — Plac Trzech Krzyży 16

Warunki prenumeraty: miesięcznie 80,— zł; kwartalnie 240,— zł; półrocznie 480,— zł; rocznie 960,— zł. Należności za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa [—634] z zaznaczeniem „za tvz. „Więś”.

Drukarnia nr 2 Spółdz. Wyd.-Ośw. „Czytelnik” Marszałkowska 3/5

B-101967



Kronika kulturalna

W ubiegłym tygodniu ogłoszone zostały wyniki konkursu na najlepszy przekład sztuki ogłoszonej na Festiwal Sztuk Radzieckich i Rosyjskich.

Po zapoznaniu się z ogółem 47 przekładami, Jury konkursu doszło do wniosku, że żadna z przedłożonych prac nie kwalifikuje się do pierwszej nagrody.

Nagrodę drugą w wysokości 150.000 zł. postanowiono przyznać J. Jędrzejewiczowi za przekład „Buzry” Ostrowskiego.

Trzy nagrody trzecie po sto tysięcy każda otrzymali: Cz. Jastrzębiec-Kozłowski za przekład sztuki „Wilki i Owce” Ostrowskiego, S. Polak za przekład dramatu Puszkina i A. Maliszewski za przekład sztuki „Ojciec Debutantki” A. Bondy. Poza tym wyróżniono przekłady A. Lau-Gniadowskiej („Pieją Koguty” Batusza), B. Korzeniewskiego („Śmierć Tarekina” — Suchowo Kobylina), oraz J. Brzozy i A. Baumgardena („Makar Dubrawa” Korniejczuka).

Najbardziej palącą bolączką naszych szkół i uczelni jest nadal brak odpowiednich podręczników naukowych. Szczególnie niekorzystnie przedstawia się sytuacja ta w dziedzinie historii literatury polskiej, gdzie ciągle jeszcze pokutują stare przytyki burżuazyjno - dekadencjonalnej ideologii.

Jednym z czołowych zadań Państwowego Instytutu Badań Literackich jest właśnie opracowanie odpowiednich podręczników naukowych z dziedziny historii literatury, podręczników, które rewidują dotychczas rozpowszechnione fałszywe pojęcia i teorie, podręczników opartych na marksistowskim światopoglądzie.

Już niebawem ukaze się opracowany przez Instytut pierwszy tom Historii Literatury Polskiej, obejmujący okres do końca XVIII wieku. Prace nad przygotowaniem 2 dalszych tomów historii literatury polskiej są w toku. Wspomniana wyżej praca jest przeznaczona dla szkół średnich. Poza tym Instytut Badań Literackich prowadzi już prace przygotowawcze nad opracowaniem uniwersyteckiego podręcznika historii literatury. Przygotowania te obejmują szereg prac z zakresu bibliografii i badań nad językiem.

Staraniem Instytutu Badań Literackich, którego dyrektorem jest znany krytyk prof. Stefan Żółkiewski — ukazało się dotychczas kilkanaście publikacji, przeważnie skomentowanych wydań klasyków.

Między innymi wydano obszerną antologię literatury pozytywistycznej, pracę o poebie Mickiewicza w Rosji itd.

Szczególnie interesująco zapowiadają się dwa znajdujące się już w druku tomy studiów o pisarzach i kulturze drugiej połowy dziewiętnastego wieku. Studia te rewidują dotychczasową wiedzę o tej epoce, oświetlają ją z marksistowskiego

punktu widzenia i zawierają niezwykle cenne, często wręcz rewelacyjne materiały.

W końcu lutego przybył do Warszawy na dłuższy pobyt w ramach wymiany kulturalnej, jeden z najwybitniejszych poetów węgierskich naj młodszego pokolenia — Juliusz Toth (ur. 1926).

Juliusz Toth, jest synem małorolnego chłopca z okolic Szerencs, poeta, któremu dopiero zwycięstwo obozu postępu umożliwiło awans społeczny i pracę twórczą. Już pierwsze wiersze młodego rewolucjonisty, drukowane w czołowych czasopiśmie literackich „Csillag” i „Valóság” zwróciły powszechną uwagę niezwykłą piękną formą i głęboką treścią społeczną. Wiersze Totha były drukowane w czasopiśmie radzieckich („Ogoniok”), „Literaturnaja Gazieta”), czechosłowackich („Rude Pravo”) i postępowej prasie amerykańskiej.

W czasie swego dotychczasowego pobytu w Polsce, Toth napisał już szereg wierszy i szkiców prozą, poświęconych Warszawie i jej odbudowie.

(Wys).

W NUMERZE 10 (241)

TYGODNIKA „WIEŚ”

z dnia 12 marca 1950 roku

Franciszek Grabowski — Rewolucja kulturalna na wsi
Stefan Treugutt — Nowy typ prasy
Mikołaj Grybacow — Wiosna w kołchozie „Pobieda”
Józef Bieniek — Pierwszy krok
Elżbieta Brodzianka — O popularną recenzję
— Marks o pracy fizycznej i umysłowej w społeczeństwie kapitalistycznym (tłum. K. S.)
Witold Wirpsza — Pięćioletni Marian Niewiarowski — Historia jednego życia
Kazimierz Dziewoński — Planowanie terenowe
Lucjan Rudnicki — „Za granicą” (wys) — Pisma Stalina — Kronika Radziecka
Stanisław Mędelski — Obrona Rewolucji
Wanda Osieńska — Szkutka z malachitu
Jacek Trznadel — Powieść o Stendhalu
Stanisław Wyka — Trzeba lepiej znać nową drogę
Tadeusz Papier — Przyjmuję wezwanie do czujności
J. B. — Szkoła wzorem i organizatorem
E. Płażewski — „Nasze zwycięstwo” 16 ilustracji, 8 stron.

KSIĄŻKI NADESLANE

„Czytelnik”
13. Jacek Bocheński — Fiolki przynoszą nieszczęście str. 139.
14. Seweryn Polak — wiersze: O Stalinie str. 71.
15. Eliza Triolet — Kochankowie z Avignonu str. 370.
16. „Czytelnik” — Almanach Chłopiński str. 184.